Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

MUZYKA FAL ETERU—TANCERZ POLSKI W STOCKHOLMIE

WIADOMOŚCI LITERACKIE

Cena 80 groszy

TYGODNIK

Oddział „Wiadomości Literackich" w Paryżu, 123, boul St. Germain, Księgarnia Gebethnera i Wolffa

Cena numeru w Paryżu zł. 1.—

Nr. 44 (200) Warszawa, Niedziela 30 października 1927 r. Rok IV

W ogniu walk o akademję

KAROL IRZYKOWSKI

Przewrót majowy w literaturze

Ten „najuczciwszy poeta", który p. Watowi mówił, że gdyby reprezentantom młodej literatury zaproponowano fotele w akademji literackiej, zaraz uznaliby jej pożytek, — ten poeta posługiwał się dosyć prymitywną psychologją insynuacyj, (którą i ja się w poprzednim artykule posłużyłem). Czasem trafia ona w sedno — zależy to od tego, kto mówi i o kim mówi. Ale gdyby każdy musiał się w swoich enuncjacjach krępować tem, że zawsze ktoś o czemś coś powie, wszyscy mieliby usta zamurowane. Tak się też stało w sprawie akademji. Jest wielu, którzyby występowali przeciw niej, lecz albo mają jeszcze cień nadziei dostać się do niej, albo boją się być posądzonymi o zazdrość lub o zemstę za to, że się ich nie bierze w rachubę jako kandydatów. Ten stan jest śmieszny i upadlający, — akademja, zanim jeszcze powstała, już wywołuje rozkład charakterów. Najdziwniej zaś zachowują się ci, którzy uchodzą za kandydatów pewnych: zamiast zabrać głos i publicznie bronić akademji, siedzą cicho, bo albo znowuż boją się, aby ich nie posądzono o występowanie we własnym interesie, albo poprostu ufają — sile bagnetów. Do tego bowiem sprowadza się cała kwestja akademji, — gdyby istniał silny sejm, zdmuchnąłby akademję, tak jak zdmuchnął ministerstwo sztuki.

Powiedzmy sobie otwarcie: zamiar powołania akademji jest karykaturalną miniaturą majowego zamachu, małym Piłsudskim literatury jest p. Kaden-Bandrowski, a główni kandydaci — to piłsudczycy czy kadeniści. Dla kompletu, aby nie brakło analogji nawet z Nieświeżem, znalazł się wśród kandydatów także hr. Morstin, sympatyk faszyzmu. Iłłakowiczówna, sekretarka Piłsudskiego, otrzyma fotel zapewne za wiersze o Litwie, choć, jeżeli chodzi o wiersze patrjotyczne, to dziesięć razy więcej napisał ich Makuszyński, podobno z ogromnem powodzeniem.

Tego rodzaju argumenty są drastyczne, ale nie można inaczej. Kwestja osób jest zresztą dość obojętna, chodzi o to, „czy". Otóż po tylu głosach nieprzychylnych dla akademji powinni byli jej inicjatorzy albo zamiaru zaniechać, albo przynajmniej odwołać się do kongresu czy do plebiscytu, chociaż są to instancje trudne do zorganizowania.

Gdy się czyta taki głos, jak p. Wata, twardy i krnąbrny, ale z pewnością nie odosobniony, rodzi się pytanie: kto wobec takiego nastroju opinji nie będzie się rumienił, że jest akademikiem, kto potrafi strawić ten zaszczyt?

W tem jednem tylko myli się p. Wat, — jakoby akademja złożona ze starszych panów mogła w Polsce gnębić młodą literaturę. Gdybyż przynajmniej! Wtedy mimo woli przyczyniłaby się do jakiegoś rozwoju. (Oczywiście nie może to być środkiem świadomym). Ale stosunek starych do młodych cechuje u nas nadmierna wyrozumiałość, oskoma do protekcyj, do wyszukiwania talentów, nawet wprost pochlebstwo. Pan Wat powiada, że zwycięstwo skamandrytów było łatwe, a ja twierdzę, że nawet walki nie było, nawet nie wywalali drzwi, bo tamci już je otworzyli, i z klucza i z klamki, witając z entuzjazmem „rewolucjonistów".

Ten dotknięty przez p. Wata zasadniczy nasz indyferentyzm w sprawach poezji jest głównym powodem, dla którego akademja nie może się udać. Może być urzędem dystrybucyjnym dla rozdziału nagród i stypendjów, trybunałem do ścigania różnych Brzozowskich (przypominam głośną enuncjację w sprawie Miriama, którą podpisali Żeromski i Reymont), fabryką odezw do narodu — oby nie takich, jak owa haniebna w sprawie więźniów politycznych. A — w założeniu — powinnaby być tylko kuźnią myśli, z której nietylko dymy ale i promienie szłyby na całą literaturę.

Tu nawiązuję do myśli wypowiedzianych przez p. St. Szpotańskiego w ankiecie „Świata" urządzonej dla sprawy akademji. Pan Szpotański przypomina dzieje akademji Richelieugo, że było to z początku tylko grono dowcipnych, zajmujących ludzi schodzących się u Conrarta; wieść o dyskusjach toczących się w tem gronie tak zbudowała Richelieugo, że postanowił nadać im charakter publiczny i złączył pisarzy w płatną akademję, — ale od tego też czasu dyskusje przestały być zajmujące. Pomijam wniosek wysnuty stąd przez p. Szpotańskiego, że wszystko, co zaczyna być urzędowe, tem samem żyć już przestaje; interesuje mnie tu tylko sama geneza akademji. Jej początkiem był klub dyskusyjny. Mniejsza o to, że rozprawiano tam o sprawach, które z naszego punktu widzenia łatwe się wydają, jak o języku, o tem, co nazywano podówczas stylem; dość, że stamtąd istotnie promieniowały jakieś myśli na literaturę.

Według analogji do naszych czasów i do Polski, tylko grupa „Skamandra" byłaby się — dawniej nie dziś — nadawała do pasowania jej na akademję, po skooptowaniu sobie np. Millera (o ileby jej nie rozsadził). Oczywiście, promieniowały myśli także od Żeromskiego i innych, ale ci jak każdy gruby zwierz działali w pojedynkę, tu zaś chodzi o zespół zgrany z sobą, odgadujący wzajemnie swoje myśli i wzajemnie się zapładniający. Sam fakt utworzenia się takiego zespołu jest szczęśliwy i rzadki, trzeba do tego specjalnych charakterów i specjalnych sprzyjających okoliczności. (Nb. biorę tu „Skamandra", a raczej „Pikadora", jako przykład do zademonstrowania mojej tezy, nie wnikając w jakość i zasługi tego zespołu).

Akademja powinnaby być mózgiem i sercem literatury. Powiadam: powinnaby, a nie: mogłaby. Każdy bowiem widzi, że życie organizmu literatury jest inne, i dzisiaj bardziej złożone niż dawniej. Ale jeżeli ludziska słyszą takie słowa, jak akademja literacka, wyobrażają sobie słusznie, że to będzie kuźnia, ognisko, serce, mózg, — te porównania są stare, ale w tym wypadku naturalne. Słyszy się też: to będzie autorytet. O tak, pretensje do akademji będą bardzo wielkie: ma wydawać pismo, polecać utwory do druku lub nawet drukować, krytykom rozdawać upominające szczutki i t. d. Jabym im przydzielił jeszcze jedną funkcję: niech rozdają patenty na „talent". Wtedy „firmowi" literaci, którzy otrzymują dziś listy z zapytaniem, „czy mam talent?", wiedzieliby przynajmiej, gdzie te listy do załatwienia odsyłać...

Czy jest możliwe, żeby nasza akademja mogła stać się taką „kuźnią"? Zapewne nigdzie to nie jest możliwe, a u nas szczególnie nie.

Może toby i nie dużo szkodziło, że dziś niema gotowego zespołu takiego, któryby dostatecznie imponował. W sprawach ducha i w sprawa społecznych można budować od dachu, kwiat wsadzony w ziemię może puścić korzeń. Ale jest przeszkoda inna. U literatów polskich, ludzi nadzianych wszelkiemi inteligentnemi przesądami, panuje zdawna zakorzeniona i kultywowana niewiara w płodność dyskusji i oczywiście także niemoc w tym kierunku, zarówno intelektualna jak etyczna.

Odkąd zajmuję się literaturą polską zawsze widziałem wstręt do dyskusyj, polemik, tworzenia szkół, izmów, — wstręt, mający w sobie dużo z zawiści staropanieńskiej i zamaskowany pycha, że oto nie jest się „doktrynerem" jak ci moi sąsiedzi. W dziedzinie literackiej powtórzył się ten sam objaw, obojętności, któryśmy dawniej mieli w dziedzinie religijnej. Powiedziano sobie: poco to wszystko, przecież twórczość jest zawsze ta sama, Homer i Sienkiewicz w perspektywie wieków są bliżsi sobie wzajemnie niż swoim rówieśnikom, albowiem rzeczą główną jest talent. Spory „pryncypialne" zostawmy Rosjanom, Niemcom, Francuzom. Polskie życie literackie zawsze było tylko życiem towarzyskiem na tle literatury, a nie współżyciem duchów. Schodzili się ludzie już gotowi, już wielcy, popijali z sobą, kadzili sobie wzajemnie, — pocichu na stronie wyśmiewali się również wzajemnie, — wymiana myśli była słaba, bo każdy dla siebie wiedział i albo strzegł zazdrośnie albo zanadto pogardzał innymi, aby im wyjawić, albo — to było najczęstsze — wszyscy wzajemnie zanadto się szanowali: poco mamy się „kłócić", przecież wszyscy jesteśmy wielcy, choć każdy w innym gatunku. Tak było z Młodą Polską, a później Feldman starał się o to, aby ten polski indyferentyzm w największej czystości utrzymać; znamienna była urządzona przez niego w „Krytyce" ankieta przeciw „szkołom literackim".

Niemaczej zaczął życie „Skamander", co swego czasu stwierdziłem w artykule p. t. „Programofobja". Obecny stan rzeczy jest taki, że gdy p. Morstin ubolewa na nadmiar polemiki w literaturze naszej (artykuł „Dość polemiki" w nr. 75 „Wiadomości"), p. Kaden-Bandrowski w „Głosie Prawdy" twierdzi, że jest jej za mało, — ale z tego, co w tej kwestji pisze, wynika, że chodzi mu tylko o pisanie książek o literaturze z czasów po r. 1918. Pan Krzywoszewski w „Świecie", nawiązując do artykułu p. Kadena-Bandrowskiego, pisze, że są wprawdzie polemiki, ale wyradzają się w zwady karczemne, w bójki osobiste. To jest prawda; technika dyskusji i polemik, tak ustnych jak pisemnych, jest bardzo wadliwa. Ale z drugiej strony znowuż kwestje literackie mają to do siebie, że wkraczają głęboko w życie osobiste, angażują całego człowieka, i nie można np. krytykować nikogo, nie wyrządzając mu— choćby najbardziej pośrednio — osobistej przykrości. Nie pomoże obłudny i perfidją podszyty „dobry ton" ani przepisy dialektyki, skodyfikowane niegdyś przez Cabeta, a odświeżone zgrabnie przez T. Kotarbińskiego (w „Przeglądzie Warszawskim"), — w najwyższem i najszlachetniejszem stadjum wszelka dyskusja, polemika, wymiana myśli i ich ścieranie się z sobą, będzie walką dusz, na całego, bez rezerw, bez chytrości towarzyskich, z wszystkiemi niebezpieczeństwami nagości. „Die Geister prallen an einander, est ist Lust zu leben". Dlatego to powyżej wspomniałem także o niemocy etycznej, jakkolwiek nie chodzi tu o jakąś pospolitą „moralność". Zespół, któryby dążył do takich wyżyn, musiałby być rodzajem zakonu, i za takie widowisko rzeczywiście warto dobrze zapłacić. Richelieu miał słuszność, ale się zawiódł.

Ależ widzę, widzę już te uśmieszki, że oto propaguję kult „kłótni" i jałowej dysputy. Lecz jeżeli sądzicie, że wielkie i owocne myśli powstają w ciszy — na co ja się zgadzam, tylko dodam, że bywają one zawsze pośrednim owocem starcia dusz, choćby w książkach,—to nie zakładajcie akademji, lub powiedźcie sobie otwarcie, że to będzie tylko urząd i mechaniczna suma większych lub mniejszych autorytetów — jednostek. Jeżeli nie powstają u nas szkoły literackie, jeżeli pisma literackie unikają idei, programu, jak bakcyli, i chcą być tylko ramą, korytem dla t. zw. życia, to skądżeby się wziął materjał na taką akademję, gdzieby się — o zgrozo! — raz mówiło o poezji, a nie o jej zarobkach. Co do mnie, nagradzałbym nietylko dzieła, ale także takie małe kółka, akademijki, gdziekolwiekby powstawały, gdyby się okazała ich żywotność i zapładniająca działalność. Ale oczywiście wtedyby taką ruchliwość naśladowano, fabrykowano, — więc nagradzałbym wogóle twórcze niespodzianki w literaturze, ów „spiritus", który „flat ubi i quomodo vult", a wtedy i pretensje p. Wata byłyby zaspokojone.

Powiedzą, że wygłaszam drugi raz mowę kandydacką, — a jednak nie kandyduję. Chcę tylko sięgnąć w podświadomą głąb nadziei związanych z wyobrażeniem o akademji i zniszczyć je. Dość przejrzeć listę firmowych nazwisk w literaturze i zastanowić się, że taki zespół jest niemożliwy, boby go nie chcieli, a ewentualnie powstały przypadkiem w swojem łonie ogień ugasiliby. Ich dwudziestu nie starczyłoby za jednego Brzozowskiego, który sam jeden był całą akademją, i niezwykłem widowiskiem. Przybity na krzyżu swojej choroby i swoich potwornych procesów, jeszcze stamtąd rozglądał się, mówił i działał.

Narażam się na zarzut, że rozmyślnie wydymam zadania akademji, aby jej żywot uniemożliwić, a przecież ona ma być tworem praktycznym i mieć na oku cele praktyczne. Otóż to! Ja sądzę: właśnie prócz praktycznych także, i głównie, cele niepraktyczne. Tak jak zakony, opiekują się biednymi, utrzymują szkoły, ale głównie — służą Bogu. Inaczej — do djabła z nimi!

Ale dam się ubłagać i łaskawie zrobię wam koncesję, na którą się zapewne i p. Wat zgodzi: niech sobie taka akademja istnieje, ale na próbę tylko przez jeden rok, i przez ten rok pokaże co umie. Niech nam łaskawie panuje i świeci, ale niech zarazem stanie się wielką elektrownią, zaopatrującą w światło i popęd nasze prywatne warsztaty. Jeżeli nie, to po roku — sędziami wówczas będziem my!

*

Artykuł Irzykowskiego był nadesłany przed pojawieniem się w pismach warszawskich artykułów Breitera, Goetla, Horzycy i Lechonia.

*

Niedzielne dzienniki warszawskie przynoszą aż cztery artykuły za akademją.

Emil Breiter („W obronie akademji literatury polskiej", „Głos Prawdy", nr. 291), uważa, że akademja stworzy czytelnictwo: „przedewszystkiem jako wielka instytucja wydawnicza (czyżby „Gosizdat?") a powtóre jako olbrzymi rezonans dyskusyjno-polemiczny... mając na konkursy, stypendja, nagrody i zapomogi, wpływać będzie czynnie na twórczość indywidualną". Nawet niesprawiedliwości, popełniane przez akademję, mogą mieć znaczenie, bo zorganizują opozycję.

Ferdynand Goetel („Czy nie wiadomo poco?", „Kurjer Warszawski", nr. 291) ogranicza się do ironicznych uwag na temat opozycjonistów akademji i upiera się przy niej jako najlepszej formie „nadbudowy" nad organizacjami literackiemi. Goetel ostro atakuje „malkontentów", którzy „występują osobiście, tem bardziej osobiście, iż żaden z nich nie zdobył mandatu publicznego jako użyteczny i twórczy współpracownik w którejkolwiek z już istniejących instytucyj literackich". Jest to typowa wolta polemiczna, bo w dyskusji nie chodzi o autorytety, ale o argumenty, nie o osoby, ale o treść. Odwoływanie się do autorytetów jest rzeczą niebepzieczną, bo jeżeli nawet autorytet Goetla pochłonie autorytet Wata, może łatwo się zdarzyć, że autorytet Goetla z kolei zostanie pochłonięty przez autorytet Irzykowskiego. Można przecież być doskonałym organizatorem i energicznym prezesem instytucji literackiej i nie umieć przytoczyć ani jednego punktu w programie prac przyszłej akademji, jak to się właśnie zdarzyło Goetlowi, i odwrotnie — można stać poza stowarzyszeniami literackiemi i zwalczać akademję uderzeniami istotnemi, jak to uczynił Wat. Argument, że „Wiadomości Literackie" same urządziły plebiscyt „Kogo wybralibyśmy do akademji literatury polskiej?" nie dowodzi niczego, bo „Wiadomości", jak już ktoś zauważył, umieściły także mapę „nieba literackiego", co wcale nie znaczy, że życzą sobie, żeby takie niebo powstało. Zresztą „Wiadomości" dają głos zarówno zwolennikom jak i przeciwnikom akademji.

Wilam Horzyca („W sprawie akademji literatury", „Epoka", nr. 291) operuje w płaszczyźnie „rządu dusz" i pisze dosłownie, że „fotel akademicki nie będzie i być nie może w Polsce synekurą, choćby w nim nawet siedziano z założonemi rękami" (!) „Wymagać on bowiem będzie nietyle pracy rąk, ile pracy *sumienia*". Przyznajemy chętnie, że dziedzina imponderabiliów Horzycy jest nam najzupełniej niedostępna.

O ile wszystkie trzy omówione artykuły toną w niejasnej frazeologji, o tyle konkretny program prac przyszłej akademji kreśli *Jan Lechoń* („Przed ustanowieniem akademji literackiej", „Kurjer Poranny", nr. 294). Idzie w nim za wytycznemi Żeromskiego. Ale z chwilą, kiedy cytuje się Żeromskiego, trzeba uświadomić sobie, że forma, jaką idei jego nadają dzisiejsi wykonawcy, jest jej najzupełniejszem przeinaczeniem. Żeromski pojmował „akademję" nie jako sanhedryn dwudziestu wybrańców, przepaścią zaszczytów i uposażenia odgraniczonych od reszty pisarzy, ale jako instytut konkretnej pracy literackiej, ***dostępny dla wszystkich wybitnych pracowników na polu literatury.*** W artykule „O potrzebie akademji literatury polskiej", ogłoszonym w nr. 27 „Wiadomości", pisał: „Być może, iż nazwa sama — „akademja" — była nieszczęśliwie wybrana, za obszerna i drażniąca. Nie chodziło jednak ani o haftowane fraki i kapelusze z koguciemi piórami ani o rozdawnictwo pasportów do krainy nieśmiertelności, lecz o organizację i o zorganizowaną pracę". I dalej: „...ktoby należał do instytucji, o ileby powstała? Czy to nie będzie klika synekurzystów?... Ale rozejrzyjmy się tylko dokoła. Jak świetne prace dziś, w naszych oczach, powstały, a nie otrzymują należytego nietylko uczczenia, lecz nie znajdują czytelników. Prace profesorów Morawskiego, Witwickiego, Zielińskiego, Brücknera, Nitscha, Łosia, Rozwadowskiego, Łempickiego, ogromna praca odtwórcza Jana Kasprowicza, Miriama, Czubka, Staffa, Żegoty-Cięglewicza, Jedlicza, Wyspiańskiego, Boya, Langego, Grossekowej, Józefa Jankowskiego i tylu innych!... Młody Józef Wittlin siedem lat pracuje nad przekładem „Odyssei". Dlaczego nie obcujemy z tymi ludźmi...? Wszyscy wiemy doskonale, kto wśród nas jest talentem, i wszyscy wiemy, kogo należy do „akademji" powołać".

Żeromski pisze jasno, i nie wolno jego testamentu fałszować.

MARJA JEHANNE WIELOPOLSKA

Do Aleksandra Wata

Zaczynam od końcowego ustępu artykułu Pana o Lex Academia. Któż mniej od Pana, wielki Artysto i świetny Pisarzu, był przeznaczony do wypowiedzenia słów: „skoro nam nie proponują (foteli akademickich), to korzystamy z tej przewagi i wołamy na całe gardło: precz z akademją!"? Któż bardziej od Pana jest pewien, że o ile akademja zostanie uchwalona, to przy pierwszym wyborze „z zewnątrz", czy późniejszym *„z wewnątrz"*, Pan zasiądzie wśród nieśmiertelnych!? Pozatem pozornie rzeczowe wywody Pana mają równie rzeczowe kontrdowody — zapewnie równie pozorne. Można łatwo odpowiedzieć Panu, że nigdy żadna moc zewnętrzna nie zatamowała rewolucyjnego biegu twórczości młodej. Żadna moc wogóle. Cytując przykłady Francji, nadmienia Pan, że tylko Francja może sobie pozwolić na akademję, na podobną śmieszność, na podobną tarczę strzelniczą. Dlaczego Francja? Akademja francuska bezpośrednio — a co ważniejsze i — o ile kto chce — à rebours — oddziałała silnie na literaturę francuską, bo ostatecznie można zapisać na jej rachunek i to... co na nią było reakcją (Goncourty i t. d.) Wszystko co było jej zaprzeczeniem było jednakże wynikiem jej istnienia, aż po ostatnie krańce obrazoburczej twórczości. Powie Pan, ż zbyt kosztowny to eksperyment, na którgo odwrotne tylko działanie się liczy. Odpowiem patetycznie, że niema niczego zbyt kosztownego dla sztuki, a młodym, rewolucyjnym prądom nie można dawać sankcji akademickiej, jako że przez to samo zostałyby wynaturzone. Akademja — to konglomerat ludzi, którzy *już swoją linję twórczą znaleźli*, nie ustalili jej jeszcze może, ale znaleźli, — poza nią są wszyscy ci, którzy szukają, którzy błądzą, którzy gwałtownie, ślepo jeszcze prą naprzód, zapaleńczo i zawadjacko. Hierarchij tych nic nie zmieni, ani stworzenie akademji, ani jej nieistnienie.

Na drugi punkt argumentów Pana odpowiedzieć można, że bardzo silnie jeszcze działają na Was właśnie pisarze przedwojennego pokolenia. Weźmy takiego Juljusza Kaden-Bandrowskiego, wybitnie kadenizującego polską literaturę (nietylko w odpowiedziach redakcji „Głosu Prawdy") — weźmy Żeromskiego. A mówię o Żeromskim rozmyślnie jak o żyjącym, tak dalece jest wciąż żywy pośród naszej twórczości. Cóż zresztą Panu mówić i powtarzać o wpływach, o wpływologji, o niewyznaczonej nigdy drodze wzruszeń, doznawanych nawprost i naopak? Ktoby przypuścił np., że na Żeromskiego, na podstawę przygotowywanej części wtórej „Przedwiośnia", wpłynie przemożnie ostatnie dzieło filozoficzne prof. Witołda Rubczyńskiego, człowieka chyba na krańcach przekonaniowych Żeromskiego stojącego?!

W dalszym ciągu artykułu swego mówi Pan o przyszłej akademji tak, jakby raz uchwalona, miała być terenem ustawicznej walki wyborczej. Powiada Pan, że *„dziś zamianuje akademików pułkownik, a jutro może ich mianować wyborca Witosa"*... Argumenty takie są zdecydowanie ornamentacyjne, gdyż powszechnie wiadomo, że dalsze wybory, po śmierci któregoś z nieśmiertelnych, będą się odbywały bez wpływu rządu, jakiby nie był. Izba akademicka, izba lordów, raz przez rząd uchwalona, nie ma już z rządem nic wspólnego, jednostką ściśle autonomiczną zostawszy.

Następne słowa Pana — to już nie ornamentyka, ale doprawdy ubliżające pisarzom polskim mniemanie: *„U nas, gdzie co drugi piszący, po przekroczeniu trzydziestki i wydaniu paru tomików, chce przejść na emeryturę, gdzie istnieje tak żywa tendencja pasożytnicza, akademja będzie znakomitą wylęgarnią wałkoniów"*. Jeśli akademja literatury polskiej ma być matecznikiem kwaśnej niewiary w młodość, w siłę twórczego pędu, to Panabym pierwszego prezesem takiej akademji zamianowała, za to wszystko co Pan o twórczości i pisarzach naszych mówi. Gdzież bardziej jak u nas boryka się pisarz z nędzą, gdzież bardziej zapracowuje ręce po łokcie, aby zarobić na chleb powszedni dla siebie i dzieci, artykułami, kronikami, redakcyjną orką, uważając jednakże zawsze dzień czystej twórczości jako dzień radości i odpoczynku i nie sprzedając tej twórczości. Żaden pisarz świata nie jest tak nieprzedajny, jak pisarz polski, tak nieprzekupny, nieugięty. Jeszcze raz wróćmy do Żeromskiego — wspomnijmy na jego walki z madame Opinją, która była w Polsce zawsze straszliwszym kagańcem, niźli dziesięć akademij. Przyzna Pan, że bestja, która operowała wśród nas, — opinja publiczna, opinja narodowa, kaganiec religijny, — toż to wszystko było jarzmem zagranicą nieznanem, a stokroć bezwzględniejszem, niźli terror jakikolwiek inny, zorganizowany i usankcjonowany?! A przecież mimo tego jarzma mamy Pana, Autorze „Lucyfera", mamy Wołoszynowskich i Witkiewiczów, i Kuncewiczową, i „Dźwignie", i „Kwadrygi", i idziemy tak samo naprzód jak boska Francja, w takim samym procentowym stosunku. Niema ani jednego zamożniejszgeo prawie literata polskiego, więc wzamian za szpitale i domy noclegowe naszych Norwidów będzie tylko aktem sprawiedliwości dziejowej, jeśli 20 polskich literatów otrzyma od rządu pensje dożywotnie. Będzie przytem nareszcie kopuła nad barokowemi murami naszej literatury. Rzuca Pan przypuszczenie, iż o ile akademja będzie dysponowała funduszami zasiłków i nagród, to zasmaruje młode piśmiennictwo polskie pokostem starczości, obskurancji, bezwładu i t. d. Cóż może uczynić akademja gorszego, jak to co uczyniły dotychczas komitety ad hoc zbierane dla rozdawania nagród? Kto wziął wielkie państwowe i regjonalne nagrody u nas? O cóż więc Pan walczy, Lucyferzysto znakomity?! O tę przygaść pieniędzy, obiecywaną głodnym, literackim żołądkom?! Ja wyznaję szczerz, że gdyby była jakakolwiek możliwość, abym zasiadła na fotelu akademickim, to w dniu tym rozchorowałabym się z radości — poco blagi o „dobrodziejstwie losu" nie dającym mi fotela i owej mirificznej pensji dożywotniej!? I tylko żałuję, że tej możliwości ani śladu. Daj ją, Boże, Panu i daj nam, Panie Boże, akademję.

P. S. Pewien Francuz opowiadał mi, że monsignor Baudrillart, gdy kandydował do akademji francuskiej, trzymał aż do wyboru swego bukiet nieśmiertelników na stoliku nocnym, aby mu szczęście przyniosły. Wyznaję, że od jakiegoś czasu nie rozstaję się z nieśmiertelnikami. A nuż pomogą?!

PLEBISCYT „WIADOMOŚCI"

„Kurjer Warszawski" powołuje się na plebiscyt „Wiadomości Literackich" „Kogo wybralibyśmy do akademji literatury polskiej?", urządzony w r. 1925. Z grona „wybranych" wówczas „akademików" ubyli: Żeromski, Reymont, Kasprowicz, Daniłowski i Morawski.

Lista pierwszych dwudziestu przedstawiałaby się wobec tego według kolejności ilości głosów dzisiaj jak następuje: Sieroszewski, Staff, Przybyszewski, Przerwa-Tetmajer, Boy-Żeleński, Strug, Świętochowski, Berent, Brückner, Weyssenhoff, Kleiner, Irzykowski, Makuszyński, Kaden-Bandrowski, Miriam, Askenazy, Grzymała-Siedlecki, Chrzanowski, Kallenbach, Zieliński.

Z kolei największą ilość głosów otrzymali: Lorentowicz, Rostworowski, Lange, Śliwiński, Orkan, Nałkowska, Górski, Sinko, Nowaczyński, Grubiński, Rodziewiczówna, Dębicki, Lechoń, Iwaszkiewicz, Witwicki, Porębowicz, Or-Ot, Lemański, Baudoin de Courtenay, Wielopolska, Kryński, Tuwim, Limanowski, Piłsudski, Wasylewski, Słonimski, Perzyński, Zdziechowski.

Francuzka o Rosji sowieckiej

Paryż, w październiku 1927.

Nakładem „Nouvelle Revue Française" ukazała się p. t. „Seule en Russie" nowa książka Andrée Viollis, znanej autorki powieści „Criquet", „La perdrix dorée" i „La vraie Madame La Fayette". Pani Viollis, która jest przytem świetną dziennikarką, wyjechała z polecenia półoficjalnego dziennika „Petit Parisien" do Rosji, gdzie w samotności spędziła szereg miesięcy; — stąd tytuł książki: „Seule en Russie". Wbrew rozsiewanym przez niektóre agencje prasowe pogłoskom o srogim nadzorze policyjnym, jakim jakoby otaczają wszystkich cudzoziemców w Rosji sowieckiej, p. Viollis, aczkolwiek przedstawicielka „burżuazyjnego" pisma, korzystała, jak sama stwierdza, z absolutnej swobody ruchów i mogła, niezatrzymywana przez nikogo, zwiedzić samodzielnie ogromną przestrzeń od Bałtyku do morza Kaspijskiego. Nie posiadając oficjalnych przewodników, p. Viollis mogła również uzupełniać swe obserwacje rozmowami prywatnemi, a nawet i przypadkowemi. Chcąc być jak najbardziej objektywna i, jak to w przedmowie do swej książki wyznaje, bezpartyjna, p. Viollis czerpała informacje zarówno u zwolenników jak i przeciwników obecnego systemu rządowego w Rosji. Bezstronność zaś jej książki posiada tem większą wagę, jeżeli się uwzględni, że autorka nie jest komunistką, a nawet nie należy do pisarzy lewicowych.

ANDRÉE VIOLLIS

„Nie znalazłam w Rosji — pisze p. Viollis w przedmowie do książki — ani chaosu ani anarchji. Ale widziałam tam wielki naród poddający się najściślejszemu rygorowi i dyscyplinie i czyniący wprost wzruszające wysiłki w kierunku odrodzenia i postępu... I trzeba przyznać, że o ile chodzi o urządzenia społeczne, o organizację opieki nad matkami i dziećmi, o prace i instytucje artystyczne i naukowe, udało im się przeprowadzić reformy i osiągnąć rezultaty, z jakich niejedno państwo kapitalistyczne mogłoby być dumne".

Stojąc na gruncie rzeczywistości, p. Viollis wychodzi ze słusznego zresztą założenia, że jakiekolwiek byłoby dzieło Sowietów, należy je uznać, bo istnienie jego nie daje się wszak negować.

„Pod pretekstem, że Sowiety — pisze dalej w przedmowie swej p. Viollis — muszą lada dzień runąć, co przepowiadają nam już od dziesięciu lat, wpadamy w niebezpieczeństwo strusiej polityki i złudzenia.

Niezależnie od tego, czy jest to nam na rękę lub nie, trzeba zdać sobie sprawę z faktu że rewolucja rosyjska przyniosła światu coś nowego i szlachetnego. W Rosji właśnie napotkałam szereg zastanawiających zjawisk, które nie mogą według mnie pozostać bez wpływu na przyszłość narodów".

Dzięki temu właśnie odważnemu objektywizmowi krytyka francuska przyjęła książkę p. Viollis z jednogłośnem uznaniem. M. in. w „Nouvelles Littéraires" spotykamy entuzjastyczny artykuł Alberta Londres. Bo książek o Rosji sowieckiej wyszło, szczególnie we Francji, aż nadto, ale odznaczają się one zazwyczaj nietylko skrajną partyjnością, lecz nawet płytką i tanią tendencyjnością. Do takich należy np. książka Henri Béraud p. t. „Ce que j'ai vu à Moscou". Są to elukubracje ściśle zgóry postanowione, które mogłyby powstać nawet gdyby autor nie zadał sobie trudu wyjazdu do Rosji. W przeciwieństwie do reporterów tego typu p. Viollis daje książką swą dowody, że człowiek, który umie patrzeć, może znaleźć w Rosji sowieckiej wielostronne pole do obserwacji. A p. Viollis posiada w tym kierunku zaiste wyjątkowe zdolności. Kilku zaledwie pociągnięciami pióra udaje się jej wypowiedzieć to co już oddawna przeczuwaliśmy, ale co dotychczas nigdy nie było wypowiedziane wyraźnie słowami. Zadziwiająca również jest skala zainteresowań francuskiej autorki. W swej obszernej książce przechodzi bowiem od tematów tak ściśle ekonomicznych, jak np. rozdział p.t. „L'inquiétant probleme de l'industrialisation", do tak oderwanych i napozór nieuchwytnych, jak rozdział o miłości, zatytułowany „Qu'est devenu l'amour?". Nic więc dziwnego, że książka cieszy się we Francji dużem uznaniem jako jedyny w swoim rodzaju dokument o dzisiejszej Rosji.

Artur Prędski.

ANTONI SŁONIMSKI
WIEŻA BABEL
ZŁ. 4.—
NAKŁAD F. HOESICKA

MUZYKA FAL ETERU

Berlin, w październiku 1927.

Od setek lat sztuki piękne znajdują się w stanie skostnienia, z którego znaleźć można wyjście jedynie od czasu do czasu, gdyż stan ten jest uwarunkowany jednostajnością i niezmiennością środków wyrazu. Skrzypce nie zmieniły swej formy i konstrukcji od kilku stuleci, pomiędzy szpinetem a fortepianem, pomiędzy pismem nutowem czasów Bacha a naszych niewielka jest różnica. Scena nasza różni się od szekspirowskiej tylko zewnętrznemi akcesorjami (dekoracja, światło i t. d.), narzędzia malarza i rzeźbiarza nie doznały w ciągu wieków ani wzbogacenia ani modernizacji. Cała troska dostawcy materjałów (budowniczego instrumentów) i artysty była skierowana na całkowite opanowanie danych w stanie gotowym środków. Z tego wynikło, iż twórczość artystyczna rzadko pracowała nad tworzeniem nowych środków formy i zwłaszcza w ostatnich dziesiątkach lat pozostawiała dbałość o nowy wyraz — nauce i technice (film, radjo, aparat do fal eteru). Ponieważ ilość danych form w ramach danych środków jest zawsze ograniczona, sztuka w poszukiwaniu nowych kształtów częstokroć się cofała (powrót do prymitywizmu) albo w swej bezsile pogrążała się w mistyczno-abstrakcyjnej konstruktywności, która czasami była naciągana wykombinowana, i często wpadała w śmieszność.

Każda więc próba wzbogacenia środków sztuki powinna więc być powitana z wdzięcznością, nawet wtedy kiedy jej możliwości, jej przystosowania, jej rozwój nie da się przewidzieć.

Podczas wystawy muzycznej w Frankfurcie prof. Lew Teremin z państwowego instytutu fizyczno-technicznego w Leningradzie przedstawił po raz pierwszy swój aparat „do fal eteru". Niedawno ten aparat został zaprezentowany publiczności, wśród której spotkać można było Einsteina, Hauptmanna, Bruna Waltera i innych sławnych ludzi. Potem zaś urządzono z tym aparatem i koncert publiczny. Spożytkowując zdobycze fizyki współczesnej, elektrotechnikę i radjotechnikę,— jak powiada objaśnienie koncertu, — Teremin zbudował aparat, który przy pomocy prądu zmiennego odpowiedniej częstotliwości wydaje tony różnej wysokości i mocy. Z prawej strony aparatu który ma wielkość trzyrunkowego odbiorniku, znajduje się pionowa sztabka metalowa, na lewo poziomy zgięty drut. Te „anteny"

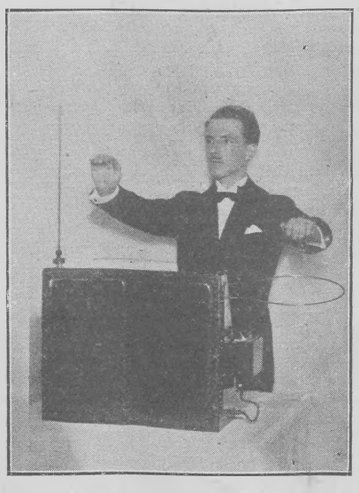

TEREMIN

wydają z siebie fale elektromagnetyczne o słabej energji, które zmieniają się pod wpływem ciał — przewodników elektrycznych, w danym wypadku — rąk ludzkich, i przeprowadzone do specjalnie skonstruowanego głośnika, przeobrażają się w tony. Im bardziej zbliża się prawa ręka do anteny, tem wyższy staje się ton, im bardziej się oddala, tem staje się niższy. Słyszy się, zarówno w górze jak w dole, tony o nieopisanej czystości, jakie nie mogą być wydobyte z żadnego innego instrumentu, gdyż dochodzą one do granic prawdopodobieństwa. Są to tony, które raczej czuje się niż słyszy. Przez podnoszenie i obniżanie lewej ręki kieruje się siłą tonu. Osiąga się wszystkie odcienie od najdelikatniejszego skrzypcowego piano do fortissimo przypominającego potężne organy, aż ściany się trzęsą, — bez żadnego wysiłku fizycznego.

Panujący jeszcze w muzyce system dwunastotonowy próbowano już nieraz przełamać i zastąpić zbudowane na tym systemie instrumenty nowemi (fortepian ćwierćtonowy, fortepian o podwójnej klawiaturze). Ale próby te nie prowadziły do rozwiązania problematu, gdyż były zbudowane na starym kształcie, który już nie da się rozbudować. Pozatem wzrastające skomplikowanie takich instrumentów wymaga skupienia wykonawcy na problematach technicznych gry, co oczywiście szkodzi duchowi muzyki. Na aparacie Teremina jednak można wydobyć tyle tonów, ile punktów (biorąc geometrycznie) znajduje się na linji pomiędzy ręką w jej najdalszem ale działającem jeszcze oddaleniu i sztabką metalową — t. zn. nieskończoną ilość.

Aparat ten daje jeszcze inne możliwości: można zmieniać „timbre" tonów i naśladować barwy instrumentów od baterji począwszy a skończywszy na ludzkim głosie. Można także wywoływać niezwykłe „echo", co właśnie wzbudziło podziw na pokazie.

Możliwości te — nieograniczona liczba tonów nie dających się ująć w system oraz możliwości zabarwienia — wyczerpuje wartość wynalazku Teremina. Wyzyskanie go dla celów sztuki będzie zadaniem muzyków-twórców. Gdyby zadaniem aparatu Teremina było tylko zastąpienie jednego lub kilku instrumentów, byłby już bardzo ciekawym wynalazkiem, ale bez specjalnego znaczenia z punktu widzenia artystycznego. Aparat ten jednak może pociągnąć za sobą nieprzewidziane jeszcze skutki — być może, że zrewolucjonizuje całą naszą wrażliwość muzyczną i rozsadzi całe skostnienie dotychczasowego systemu, otwierając nowe nieznane drogi. Prawdopodobnie potrzebna będzie całkowita przemiana wewnętrzna i zewnętrzna: nowe nastawienie słuchu i całkiem nowy system nutowy.

Josef Heinz Mischel.

Tancerz polski w Stockholmie

Rozmowa z Janem Cieplińskim

Korespondencja własna „Wiadomości Literackich"

Stockholm, we wrześniu 1927.

Nad ostro zarysowaną linją podbródka — delikatna, łagodna twarz o zlekka rozmarzonych oczach, wysokie czoło w powodzi złocisto-płowej fali czupryny.

Jesteśmy ukryci w rogu wielkiej sali Royal Grand Hôtelu przed szmerem rozmów i dźwiękami muzyki o skandynawsko-germańskiem zacięciu: nieśmiertelny Grieg, dużo walców...

*

— Jest pan obecnie ostatnią sensacją w artystycznem życiu Stockholmu, dzienniki prześcigają się w superlatywach. Czy dawno kieruje pan tutejszym baletem?

— Dopiero od dwóch miesięcy. Dyrekcja Opery Królewskiej zwróciła się do Anny Pawłowej z prośbą o wskazanie tancerza najbardziej odpowiedniego na stanowisko kierownika tutejszego baletu, który wymagał grutnownej reorganizacji. Pawłowa wskazała mnie, i oto wprost z teatru Sarah Bernhard w Paryżu, gdzie tańczyłem w balecie Diagilewa, przyjechałem do Stockholmu.

— Jakie pan znalazł warunki?

— Praca szalona. Musiałem zacząć rekonstrukcję baletu od fundamentów: zmiany personalne, reforma artystycznych podstaw wyszkolenia tanecznego i t. d. Zajęcia moje zaczynają się codzień o godz. 8 rano, a kończą około północy. Metodą Diagilewa zwracam uwagę na precyzję gestu tanecznego u absolutnie każdego członka baletu, który składa się tu z 50 osób, nie licząc pięknie zapowiadającej się szkoły baletowej, posiadającej 30 uczniów. Szwedki i Szwedzi są doskonałym materjałem tanecznym. Rozpowszechnienie i zamiłowanie do tańców ludowych, wrodzona elastyczność i sprężystość ruchów, przy niesłychanej pracowitości, — sprawiają, że bardzo szybko przebywam z nim wszelkie przeszkody. W przeciągu miesiąca przygotowałem i wystawiłem w polskich kostjumach mazura z „Halki" jako wkładkę operową. Sukces olbrzymi. Szwedzi, tak zwykle nieskorzy do owacyj, zmusili nas do sześciokrotnego powtarzania. Przy otwartej kurtynie zasypano mnie kwiatami. Przedstawiciele rządu, sfer intelektualnych i towarzyskich stolicy Szwecji winszowali obecnemu na przedstawieniu dr. Wysockiemu, posłowi Rzeczypospolitej Polskiej w Stockholmie, piękna naszego tańca narodowego i... jego wykonania. Wogóle podkreślić muszę daleko idącą współpracę ze strony poselstwa polskiego, które z całą gotowością zajmuje się dostarczaniem z Polski partytur, wzorów kostjumów i t. p.

— Czy dawno opuścił pan Polskę?

— Po raz pierwszy sześć lat temu. Po ukończeniu warszawskiej szkoły baletowej w r. 1921 występowałem jako solista w „Szecherazadzie" i „Halce". W tym roku też debjutowałem w tańcach skomponowanych przeze mnie do muzyki Szymanowskiego, Różyckiego i Skriabina, w Reducie i Filharmonji. Nie mogąc jednak dojść do porozumienia z operą warszawską, której dyrekcja uważała mnie za zbyt „młodego" i zbyt „samoistnego", opuściłem kraj i przyjąłem engagement Pawłowej; objechałem z nią Anglję i Amerykę Północną. Po powrocie zwrócono się do mnie z Polski z propozycją stworzenia zespołu baletowego w Katowicach, co z radością przyjąłem, wystawiając we wła-

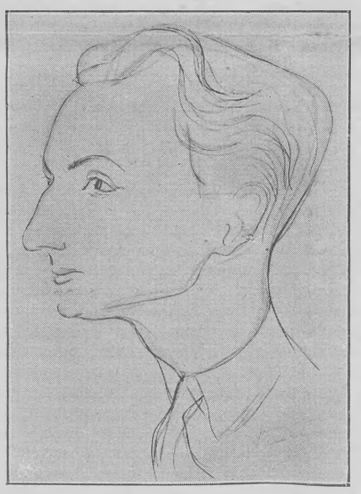

JAN CIEPLIŃSKI
rysunek Jon-Auda

snym układzie „Prometeusza" Beethowena, „Bajkę" Moniuszki, „Rapsodję litewską" Karłowicza i t. d. Studjowałem również z zainteresowaniem górnośląskie tańce ludowe i niektóre z nich, jak „trojak" „czworak" i t. d. w stylizowanej formie, wprowadziłem na scenę. Z tematów ich skorzystam na scenie szwedzkiej. Tutaj również specjalnie badam w „Skansen" (muzeum folklorystyczne na otwartem powietrzu, gdzie codziennie odtwarzane są tańce różnych szczepów północy) prymitywne tańce ludowe, upatrując w nich wiele podobieństwa do naszych tańców ludowych wogóle, a śląskich w szczególności.

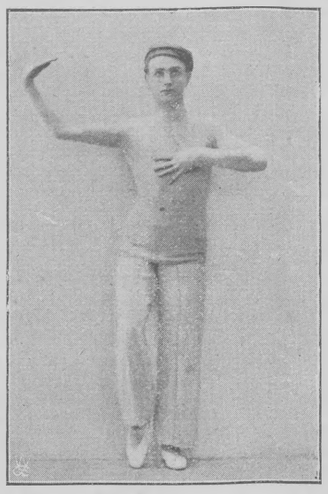

JAN CIEPLIŃSKI
w balecie „Matelots" w czasie występów w trupie Diagilewa w teatrze Sarah-Bernhardt

Po ukończonych występach w Katowicach zostałem kierownikiem baletu w operze poznańskiej gdzie pozyskałem pewien rozgłos i uznanie, czego dowodem było zaangażowanie mnie wraz z zespołem do Wiednia.

Po powrocie z Wiednia dwukrotnie występowałem z własnym zespołem w Teatrze im Bogusławskiego, pod ówczesną dyrekcją Leona Schillera. Jeden sezon przebyłem w Wilnie, organizując balet w tamtejszym teatrze, poczem odbyłem tournée po kresach wschodnich, na wzór tournées Reduty. Po powrocie z kresów otrzymałem znowu engagement do Wiednia, poczem do zespołu Diagilewa, z którym zwiedziłem Niemcy, Anglję, Hiszpanję i Włochy.

Pawłowej i Diagilewowi zawdzięczam bardzo wiele. Szczególniej Diagilew ma umiejętność wydobywania na światło rampy wszystkich, czasem utajonych, talentów. Diagilewowi przecież zawdzięcza swe własne „objawienia" Masin, Rubinsteoin, Niżynskij, Karsawina, Spiesiwa — i nawet muzycy i malarze, jak Strawinskij, Prokofjew, Benois, Roerich, Sudiejkin, Łarjonow, a później Matisse, Derain i Picasso. Diagilew jest wielkim odkrywcą tego, co możnaby określić jako czystą formę taneczną. Umie on patrzeć oczami Picasso i rzeźbić ciało ludzkich ruchów genjalnemi dotknięciami Fokina, stwarzając jedną konstrukcyjną całość...

— Jakie kierunki w tańcu obecnym najbardziej panu odpowiadają?

— Nie uznaję żadnych kierunków jako zamkniętych w sobie całości. Uznaję jedynie taniec jako bezpośredni, nie liczący się z żadnemi zamkniętemi formułami — odrzucający wszelkie balasty, a pozostawiający jedynie to co jest potrzebne dla wyrażenia jego treści i idei. Technicznie jestem bardziej zbliżony do kierunku akrobatycznego, nie odrzucam jednak zdobyczy plastyki rytmicznej.

— Jakie są najbliższe zamierzenia pana?

— W lutym 1928 r. dam wielki balet do muzyki szwedzkiego kompozytora-modernisty Pergamenta. Pozatem wznowimy tu dwa balety Strawińskiego. Na wiosnę 1928 r. wystawię również trzy balety własnej kompozycji: „Prometeusz" Beethovena, „Rapsodję litewską" Karłowicza i „Bajkę niani" Ravela i, o ile czas pozwoli, „Odwieczne pieśni" Karłowicza.

— Czy ma pan poparcie teatru i społeczeństwa szwedzkiego w swoich zamierzeniach?

— Całkowite. Mam „carte blanche", a dyrekcja opery tutejszej z zupełnem zrozumieniem akceptuje moje posunięcia. Społeczeństwo zaś szwedzkie z entuzjazmem popiera moje próby wprowadzenia tańców polskich i rekonstrukcji tutejszego baletu.

Zarzucam więc nowy most zrozumienia się i poznania pomiędzy Polską i Szwecją — krajów, które i tak wiele wspólnego posiadają w swej historji i kulturze.

St. L. Centkiewicz.

NOTATKI

Zjazd unij intelektualnych. Na zjeździe unij intelektualnych, który odbył się w dn. 20 — 22 października b. r. w Heidelbergu, wygłoszono następujące odczyty: Albr. Mendelssohn Bartholdy „Die Rolle der Geschichte im Bewusstsein der Völker", W Al. Philips „Tradition and Progress", Osk. Halecki „Geschichte als Lebensgrundlage eines Volkes", Em. Bodrero „L'histoire élément dynamique", Rothfels „Geschichte als Schicksal". Alb. Thibaudet „Le sentiment de la durée historique devant la conscience française", H. Eibl „Geschichte als Verwirklichung der Idee". Polskę na zjeździe reprezentowali profesorowie T. Zieliński i Osk. Halecki oraz J. Iwaszkiewicz.

Sowiety a literatura. Z okazji rocznicy rewolucji rząd sowiecki przekazał federacji związków literackich 200 000 rb. na cele wydawnicze i 100.000 na fundusz zapomogowy. Pisarze zostali zrównani w prawach z robotnikami w dziedzinie wysokości komornego oraz przyjmowania dzieci do szkół.

Nagroda za poezję. Praska firma wydawnicza „Aventinum" z okazji dziesięciolecia istnienia ustanowiła nagrodę 10 000 koron za najwybitniejszy utwór poetycki.

Fikcyjni akademicy. „La Revue Française" ogłasza biografje szeregu fikcyjnych akademików z r. 2000.

Słownik Akademji Francuskiej. Pierwszy tom nowego wydania słownika języka francuskiego, opracowywanego przez Akademję od 50 lat, ukaże się nareszcie w kwietniu 1928 r. Pomiędzy nowemi słowami, które Akademja zaakceptowała, znajduje się słowo „mondial" (wyrażenie „guerre mondiale"), użyte — dziwnym zbiegiem okoliczności — po raz pierwszy przez Wilhelma II przed laty trzydziestu.

Książka bez błędu drukarskiego. Jak zapewnia „Papyrus", wydanie padewskie Petrarki z r. 1819 nie zawiera najdrobniejszego błędu drukarskiego. Jest to swego rodzaju unicum bilbliograficzne.

Dzieła Marca Polo. Zbiorowe wydanie dzieł Marca Pola opracowuje na zamówienie rządu włoskiego prof. Luigi Benedetto. Niedawno został sprzedany do Anglji rękopis „Księgi cudów Azji" znakomitego podróżnika.

Jak pisano nazwisko Szekspira. Badania starych rękopisów wykazały, że nazwisko Szekspira pisano 26 rozmaitemi sposobami. Oto one: Chaksper. Shaxpur. Shaxper. Skhaksper. Shakesper. Shakespeyr. Shagspere. Saxpere. Shaxpere. Shaxpeare Shaxper. Shaxspere. Shaxespere. Shaxspear. Shakspeere. Shackspeare. Schackspeare. Shackespere. Shakspeye. Shaksper. Shakespere Shakyspere. Shakespire. Shakespaire. Shakespear. Shakespeare. Sam Szekspir najchętniej podpisywał się Shakxspere.

Listy Turgieniewa. W nr. 9 moskiewskiego „Nowawo Mira" znajdujemy szereg nieznanych listów Turgieniewa do P. W. Annienkowa.

Zgon żony Wellsa. W Darnow (Essex) zmarła żona Wellsa.

Hohenzollernowie. W nakładzie Brunona Cassirera w Berlinie ukazała się książka Herberta Eulenberga „Die Hohenzollern".

Powieść o dyktatorze. W nakładzie S. Fischera pojawiła się powieść młodego pisarza niemieckiego Hansa Meisela p. t. „Torstenson". Są to dzieje dyktatury generała Torstensona; rzecz jest osnuta na tle zmyślonego konfliktu między dwoma państwami bałtyckimi.

„Studja" Flakego. U S. Fischera pojawiły się cztery studja Ottona Flakego p. t. „Unsere Zeit". Tytuły poszczególnych szkiców: „Ehrenrettung der Zeit", „Eine neue Zeit", „Biographien aus dieser Zeit", „Der Ruf nach Bindungen".

Nowele demoniczne. W nakładzie Rüttena i Löninga we Frankfurcie nad Menem ukazały się trzy nowele Heinricha Eduarda Jacoba pod wspólnym tytułem „Dämonen und Narren": „Der gefesselte Raimund", „Byron erklärt Schottland den Krieg", „Mitleid mit Nero".

Nowe książki niemieckie. W najbliższym czasie ukażą się nowe książki następujących autorów niemieckich: Döblina „Naturphilisophischen Aufsätze", Hofmannsthala „Der Turm", Hessego „Die Nürnberger Reise" (S. Fischer). Kafki „Amerika" (Kurt Wolff), Polgara „Ich bin Zeuge" (Rowohlt). Werfla „Geheimnis eines Menschen" (Zsolnay), Portena „Student von Lyon" (Deutsche Verlagsanstalt). Pozatem Insel-Verlag przygotowuje kompletne wydanie pism Rilkego.

Claudel o Kolumbie. Claudel przygotowuje dramat o Kolumbie, przeznaczony podobno dla Reinhardta.

Dzieła zbiorowe d'Annunzia. Plan wydania zbiorowego dzieł d'Annunzia został ostatecznie ustalony i ukazał się w postaci broszury w opracowaniu ministra oświecenia Fedelego. Na wydanie złoży się 40 tomów, każdy po 150 lirów. W wydaniu luksusowem, obliczonem początkowo na 6 tomów, każdy tom będzie kosztował 9.000 lirów.

Bibljografja d'Annunzia. W nakładzie Furdacji Leonarda w Rzymie ukaże się monumentalna bibljografja d'Annunzia Roberta Forcelli. Tom pierwszy liczy 330 stron druku i obejmuje tylko pierwsze 20 lat życia poety, więc zaledwie 4 lata działalności literackiej. Przynosi on spis wszystkich krewnych d'Annunzia szczegóły o każdym wypadku jego dzieciństwa, o nauczycielach i kolegach, o pierwszych próbach literackich, wszystkie listy do redaktorów i wydawców wraz z odpowiedziami, wszystkie krytyki i notatki bibljograficzne. Materjał statystyczny jest tak obfity, że zawiera nawet dane co do powtarzania się pewnych słów, jak np. „rozkosz" lub „zmysłowość", w dziełach poety.

Hindenburg a muzyka. Hindenburg oświadczył niedawno, że nie znosi muzyki.

Polska zagranicą

— „Le Manuscrit Autographe" w zeszycie październikowym b. r., a za nim „Comoedia" w numerze z dn. 15 października, publikuje autograf jedynego rękopisu francuskiego Goethego. Zawdzięczamy go pianistce Marji Szymanowskiej. W r. 1823, po spędzeniu z Szymanowską wieczoru w Marienbadzie, poeta przesłał jej z dedykacją jeden ze swych wierszy. Ale gdy Szymanowska oświadczyła, że nie znosi języka niemieckiego, Goethe przetłumaczył wiersz na francuski. To unicum przechowało się w Bibljotece Polskiej w Paryżu.

— Mgr. zdaje sprawę w „Prager Presse" z dn. 9 października b. r. ciekawej broszury prof. Franka Wollmana o Słowackim p. t. „Theokratické reseni vudcovského problému". Profesor w następujący sposób określa zasadniczą ideę Słowackiego której wyrazem jest jego twórczość: duch uwalnia zbiorowość od więzów spraw przeżytych, ale instynkt kolektywistyczny pożąda zawsze przewodnika i poddaje mu się na nowo.

— „Gazette de Lausanne" drukuje „Hanię" Sienkiewicza w przekładzie Henri Chirola.

— W przekładzie czeskim Minarika pojawiła się „Komedjantka" Reymonta. Zapowiedziany jest również „Wampir".

— „Le Temps" z dn. 3 września b. r. drukuje kilkusetwierszowy artykuł Stéphane'a Aubaca „Les impressions de Boy sur Paris et la France", zawierający sprawozdanie z książki Boya „W Sorbonie i gdzieindziej".

— Wzmianki o wierszu Tuwima „Pogrzeb Słowackiego", drukowanym w nr. 195 „Wiadomości Literackich", zamieszcza O. F. B. w „Narodnich Novinach" z dn. 4 października b. r. i w nr. 277 pisma „Nasinec".

— W „Die Literararische Welt" z dn. 7 października b. r. ukazały się dwie wzmianki Josefa Heinza Mischela o ruchu literackim w Polsce: pierwsza — o „Europa zbiera siano" Kadena - Bandrowskiego, „zasłużenie cieszącego się naiwiększem powodzeniem prozaika młodej Polski", druga — o „Wieży Babel" Słonimskiego. Mischel podkreśla pacyfistyczny charakter utworu i dodaje, że „Słonimski już w swych wcześniejszych książkach publikował wiersze, z których każda linijka ściągnęłaby nań w Niemczech co najmniej oskarżenie o zdradę stanu".

— W „Berliner Tageblatt" z dn. 9 października b. r. znajdujemy artykuł Ottona Forst de Battaglia „Neue polnische Bücher". Zostały tu omówione ostatnie książki Kadena-Bandrowskiego, Nałkowskiej, Kossak-Szczuckiej, Wołoszynowskiego, W. Hulewicza, Kuncewiczowej. Wata Nowaczyńskiego, Perzyńskiego, Goetla i Choynowskiego.

— W październikowym zeszycie „Jahrbücher für die Kultur und Geschichte der Slaven" znajdujemy obszerniejsze studjum Ottona Forst-Battaglia „Die polnische schöne Literatur der Nachkriegszeit, Richtungen und Stoffe, Autoren und Werke". Zawiera ono charakterystykę poszczególnych pradów i pisarzy polskiej literatury powojennej i opatrzone jest w dokładną bibljografję przedmiotu. Interesująca jest próba podziału autorów według pochodzenia, aczkolwiek Forst niepotrzebnie robi z Millera Żyda, z Langego Niemca, z Dąbrowskiej Francuzkę, a z Leśmiana szlachcica. Według tych obliczeń mamy wśród wybitnych współczesnych pisarzy polskich 4 „magnatów", 72 szlachciców, 24 mieszczan, 5 chłopów.

— W październikowym zeszycie miesięcznika „Der Literarische Handweiser" G. Schulemann omawia broszurkę Brücknera „Die Slaven", która ukazała się u Mohra w Tübingen.

— Rzymski „Lavoro d'Italia" zamieszcza dłuższą recenzję L. K. z książki Dzieduszyckiego „Teorja ruchu faszystowskiego i państwa syndykalistycznego" („Un libro polacco sul fascismo").

— W „Prager Presse" z dn. 11 października b. r. znajdujemy wzmiankę Mgr. o pierwszych czterech tomach „Bibljoteki Słowiańskiej" Hoesicka i o książce Pogonowskiego o Masaryku.

— W nr. 4 — 5 z b. r. czasopisma łotewskiego „Latvju Gramata" znajdujemy notatkę bibliograficzną o nr. nr. 8 i 9 „Pologne Littéraire".

— W „La Revue Française" z dn. 9 października b. r. znajdujemy wrażenia G. Peytavi de Faugères z podróży do Warszawy i Wilna p. t. „L'enchantement polonais", ilustrowane trzema fotografjami z Wilna. Opis nacechowany jest sympatją dla Polski i wiarą w jej przyszłość.

— W ramach monumentalnego wydawnictwa pieśni ludowych nakładu B. Scotts Söhne ukazał się tom pieśni polskich, opracowany przez dr. Heinricha Möllera

— „Comoedia" z dn. 11 października b. r. donosi na pierwszej stronie o przewiezieniu muzeum rapperswilskiego do Warszawy.

— Październikowy zeszyt „Crapouillot" umieszcza reprodukcję obrazu Kislinga „Dziewczynka w czarnym fartuszku".

— „La Fiera Letteraria" z dn. 9 października b. r. zamieszcza artykuł G. T. R. o Marji Szczytt-Lednickiej, opatrzony reprodukcjami dwóch prac rzeźbiarki.

— Witold Bunikiewicz zamieszcza w „Prager Presse" z dn. 6 października b. r. uwagi o wystawie sztuki czeskiej w Warszawie („Tschechoslovakische Kunst in Polen").

— Najpopularniejszy miesięcznik niemiecki „Das Magazin" umieścił w zeszycie sierpniowym b. r. kilkadziesiąt fotografij pięknych kobiet i urządził wśród czytelników głosowanie na najpiękniejszą. Największą ilość głosów zdobyła p. Halina Łabędzka.

Polska książka o Puszkinie

Z Historji i Literatury. *Wacław Lednicki.* Aleksander Puszkin. Studja. Kraków, Krakowska Spółka Wydawnicza, 1926; str. 4nl. i 407 i 3 nl.

Wacław Lednicki już swym obszernym wstępem i wyjątkowo sumiennym komentarzem do polskiego przekładu „Eugenjusza Oniegina" („Bibljoteka Narodowa") zdobył sobie zasłużony rozgłos wśród puszkinistów rosyjskich.

Nowa książka zawiera sześć rozpraw o Puszkinie.

W pierwszej („Losy Puszkina w ideologji społeczeństwa rosyjskiego") autor zestawia materjał, dotyczący obchodu „Dnia Kultury Rosyjskiej" poza granicami Rosji, i omawia przy tej sposobności artykuły, związane z odsłonięciem pomnika Puszkina w Moskwie w r. 1880 (przemówienia Dostojewskiego i Turgieniewa oraz ironiczny list Gleba Uspienskiego).

Trzecia rozprawa („Z historji poetyckiej przyjaźni") — to studjum o stosunkach pomiędzy Puszkinem a Mickiewiczem, pogłębiające i rozszerzające komentarze historyczno - biograficzne puszkinisty rosyjskiego Borysa Modzalewskiego w artykule p. t. „Puszkina wstawiennictwo za Mickiewiczem".

Historję przyjaźni obu poetów przedstawia autor szczegółowo i objektywnie, uzupełniając ją analizą znanych wierszy Puszkina, dotyczących Mickiewicza. Godny uwagi jest stwierdzony przez Lednickiego fakt, iż szczególną wartość posiada dla Puszkina epitet „swysze wdochnowiennyj" (z wysokości natchniony); poeta używa go niezmiernie rzadko, przedewszystkiem w stosunku do swego ukochanego bohatera Piotra Wielkiego. Otóż i Mickiewicza nazywa Puszkin „wdochnowiennym swysze", a ciekawe jest, iż tem mniej więcej słowy charakteryzują oblicze wieszcza polskiego inni jego przyjaciele w swych pamiętnikach z najróżniejszych okresów, nie wyłączając paryskiego. Słusznie przypuszcza Lednicki, iż postać natchnionego improwizatora w „Nocach egipskich" Puszkina powstała pod wpływem wspomnień o Mickiewiczu, któremu pod tym względem dorównał tylko Chopin (mimowoli przychodzi na myśl malowniczy obraz Miasojedowa p. t. „Mickiewicz w salonie moskiewskim Zinaidy Wołkonskiej"). Nie spotka mnie, sądzę, zarzut pedantyzmu, jeśli wspomnę przy tej sposobności, że tegoż r. 1826 ukazały się w Petersburgu „Stichotworienja Aleksandra Puszkina" (pierwszy zbiór jego wierszy), a w Moskwie — wydrukowane w drukarni uniwersyteckiej „Sonety krymskie Adama Mickiewicza".

Studjum czwarte („Puszkin i Marja Wołkońska") poświęcone jest „jedynej" miłości poety dla podlotka, którego imię stało się nieśmiertelne przez to, iż poeta od chwili pierwszego spotkania do śmierci tajemnie i płomiennie kochał Marję - Madonnę - Mary. Niebiańskie to imię było dla Puszkina przez całe życie jakby aniołem - stróżem. Dla Marji Rajewskiej-Wołkonskiej zaś Puszkin był tylko znajomym. Koło miłości tej, zdumiewającej jak ongiś namiętność Dantego, przeszła Marja całkiem obojętnie. Rzecz zrozumiała, iż młoda dziewczyna nie była w stanie zrozumieć poety, ale i starsze jej siostry widziały w nim najprawdopodobniej tylko zaproszonego na wakacje kolegę ich brata. Coprawda, w swych pamiętnikach opisuje Puszkina Marja Wołkonskaja cokolwiek inaczej, ale i w tych jej niewielu słowach brzmi przedewszystkiem obojętność. Zupełnie tak samo inna Marja — Wodzińska — powierzchownie potraktowała dwu genjuszy swej epoki i swego narodu — Chopina i Słowackiego. Któż odpowie, czego brakowało obydwu Marjom — rozumu czy też serca? W każdym razie faktem jest, iż miłość nieodwzajemniona natchnęła Puszkina, Mickiewicza i Chopina, jak niegdyś Dantego i Petrarkę.

Również i szóste studjum („Gospodarstwo poetyckie Puszkina"), będące echem pracy współczesnego poety rosyjskiego Władysława Chodasiewicza o technice poetyckiej, zawiera dużo pouczającego i ciekawego materjału.

Jednakże punkt ciężkości książki Lednickiego spoczywa w dwu najcenniejszych rozprawach, które ukazują się po raz pierwszy. Są to: „Dookoła przeciwpolskiej trylogji Puszkina" i „Poezja małżeństwa i domu". Pierwsza z tych prac dowodzi wyjątkowo sumiennego stosunku autora do materjału, t. zn. do trzech wierszy Puszkina, napisanych z okazji powstania listopadowego. Bez wżycia się w atmosferę tego krytycznego dla Rosji okresu niezrozumiałe pozostaną nastroje „finis Russiae seu finis Poloniae", któremi przesiąknięte było ówczesne społeczeństwo rosyjskie.

Za panowania Aleksandra I i Mikołaja I Rosja przeżyła trzy chwile krytyczne; były niemi r. 1812, r. 1830 i r. 1855. Trzy razy zdawało się, że oto nastąpi chwila odpowiedzi na sławne pytanie Gogola: Ruś, „ptak - trójka", pędziła przez nieprzejrzane stepy i bliska była rozbicia się. Cała myśląca Rosja nader boleśnie przeżywała te chwile, wierząc nietylko w „noc rosyjską", ale i w cud boski. I oto w r. 1830, gdy „jeszcze dwienadcatawo goda była swieża swiataja był" i żyli jeszcze świadkowie strasznych dni inwazji napoleońskiej, gdy żywe było wspomnienie o dn. 14 październ ernika 1825 r., dniu strzelaniny na placu Senackim, olbrzymie imperjum wchodzi w nową strefę klęsk. Epidemja cholery dziesiątkuje ludność Moskwy, przerzuca się do Nowgorodu, Starej Russy, do Petersburga. Sam car we własnej osobie musi tłumić bunt ludowy w stolicy, gwardja nawet chwieje się w swej wierności dla tronu. Podczas tłumienia buntu kolonij wojskowych rozgrywają się w Starej Russie barbarzyńskie sceny nieludzkich okrucieństw. Zewsząd nadchodzą wieści o powstaniach chłopskich, i brak tylko samozwańca, który, jak niegdyś Pugaczow, objąłby pod imieniem Aleksandra I przywództwo mas. W chwili, gdy Rosja stoi nad przepaścią wybucha wojna w Polsce.

PUSZKIN
portret Czernyszowa

Nadzieje na rychłe opanowanie sytuacji spełzają na niczem, głównodowodzący wojsk rosyjskich Dybicz nie może zdobyć się na szybką decyzję. Nadomiar wszystkiego zarówno Dybicz jak i wielki książę Konstanty umierają na cholerę i więcej niż problematyczne staje się ostateczne zwycięstwo Rosji,

WACŁAW LEDNICKI

od którego, jak się zdawało, zależało jej dalsze istnienie. Dzisiaj znany jest wszystkim rozwój wypadków, ale dla współczesnych przyszłość osnuta była mgłą nieprzeniknioną. Zdawało się, iż powtarzają się lata 1811 — 1812. Kutuzow, z którego imieniem ściśle wiązano zwycięstwo nad Francuzami, zszedł był do grobu bez następcy. Przeciwko sobie miała Rosja opinję publiczną całej Europy Zachodniej, nie ukrywającej swych sympatyj dla Polski. Panowała tam w literaturze tradycja antyrosyjska, zapoczątkowana już przez Byrona w poemacie „The Age of Bronze". Mikołaj I, który przez życie całe pamiętał krwawy dzień 14 grudnia 1825 r. i dzielił świat na Rosję i rewolucję, jak to się utarło od czasów wojen z „Buonapartem", przejęty był do głębi wypadkami w Polsce, o czem świadczy jego korespondencja z Dybiczem i bratem Konstantym. „Od wyniku wojny — pisze do Dybicza — tranchons le terme, dépend l'existence politique de la Russie".

Przypomniały mu się, być może, pamiętne słowa Aleksandra I, iż woli błąkać się po pustyniach Syberji, niż podpisać hańebny pokój z Napoleonem, gdy pisał do brata Konstantego, że gotów jest zginąć, byle go uratować, że spowiadał się i wraz z żoną przystępował do komunji, „voulant me préparer à tout", jak się sam wyraża. Ta spowiedź przedśmiertna nie była tylko pięknym gestem cara. Wiemy, iż zwyciężywszy „rewolucję" w r. 1831, doznał od Europy ciężkiej klęski w r. 1855, i pozbawił się życia, przekładając śmierć nad to, co uważał za hańbę i zgubę. Kryzys lat 1854 — 55 był ostatni: nastąpił zwrot w historji Rosji.

Ogólne przygnębienie panowało wśród społeczeństwa rosyjskiego r. 1830, połączone z nadzieją na cud Boży. Wtedy właśnie napisał młody Lermontow dwa wiersze o końcu Rosji, zawierające wieszcze słowa: „Nastaniet god, Rossiji czornyj god, Kogda cariej korona upadiot". W r. 1918 przedrukowano te niedokończone wiersze, będące na pierwszy rzut oka zdumiewającą przepowiednią tego, co stało się w r. 1917. W rzeczywistości atmosfera r. 1830 z łatwością tłumaczy powstanie owego „proroctwa" młodocianego Lermontowa.

Lata wojny polsko - rosyjskiej były jednocześnie latami przesilenia w życiu Puszkina, który żegna się z „demonami" lat młodych i osiąga pewną równowagę duchową, czego wyrazem zewnętrznym jest dążenie do stworzenia ogniska rodzinnego. Podzielając ogólny nastrój społeczeństwa rosyjskiego, pisze trylogję: „Klewetnikam Rossiji", „Borodinskaja godowszczina" i „Pieried grobniceju swiatoju...", zwracając się do Europy, która zajęła stanowisko wrogie Rosji, wspominając cud Boży r. 1812, schylając czoło przed prochami bohatera narodowego Kutuzowa. W listach do przyjaciół nie ukrywa lęku, jaki ogarnia go wobec klęsk elementarnych wewnątrz Rosji, wobec buntów ludowych. W owym to okresie, być może, powziął zamiar napisania „Historji buntu Pugaczowa", w którym wypowie znakomitą myśl o tem, iż „nie daj, Panie Boże, ujrzeć buntu rosyjskiego, bezmyślnego i bezlitosnego". Z przyjaciół Puszkina niewielu tylko, jak np. ks. Wiaziemskij i bracia Turgieniewowie, nie zrozumiało należycie intencji wierszy Puszkina, lecz i ci (nawet młody Hercen) nie sądzili bynajmniej, by oznaczały one płaszczenie się przed carem Mikołajem I, jak to twierdzi badacz polski Kucharzewski w swej pracy „Od białego caratu do czerwonego". Wszechstronne oświetlenie tego problematu, wyzyskanie materjałów zachodnio-europejskich i analiza nastrojów społeczeństwa (a nie rządu) rosyjskiego owych lat — oto zadania, z których bez zarzutu wywiązał się Lednicki.

Studjum p. t. „Poezja małżeństwa i domu" omawia wspomniany wyżej przełom w duszy poety w latach 1829—1831. Po burzliwych latach młodzieńczych rośnie w Puszkinie pragnienie stworzenia ogniska domowego i wyparcia się „demonów" młodości. Niezwykle trafnie przedstawia Lednicki Puszkina, jako syna w. XVIII, stulecia francuskich „propos galants" przy kominkach, zniszczonych przez rewolucję, aby na ich ruinach powstały ogniska domowe. Znany „Katalog Don Juana" wskazuje, że żona Puszkina była jego 113-tą miłością. A mimo to w sercu poety wciąż jeszcze żyje postać „jedynej" ukochanej, owej Marji, której imię nadaje tylu swym bohaterkom. Opowiadając historję niefortunnych konkurów poety, w szczególności historję długich i męczących pertraktacyj ustnych i listownych o rękę Natalji Gonczarowej, Lednicki zestawia wszystkie dane dowodzące wyjątkowo wzniosłego stosunku poety do idei małżeństwa. „Demonów zwycięża dobro, jak postać Oniegina — demona Tatjany — zwyciężona jest przez postać tegoż Oniegina schylonego u stóp kobiety, innemu oddanej i wiernej mu w imię obowiązku. To pojęcie dobra dominuje w duszy Puszkina. Pisząc dn. 22 lipca 1863 r., w dniu święta Marji Magdaleny, wiersz pokutny „Władyko dniej moich, duch prazdnosti unyłoj...", poeta pragnie wyzwolić się z więzów miłości dla Aleksandry Gonczarowej. Otrzymawszy od matki swej narzeczonej odpowiedź niezdecydowaną, udaje się, powolny jakiemuś nieokreślonemu impulsowi, na Kaukaz, gdzie przeżył pierwsze chwile swej taiemnej i wiecznej miłości dla Marii Rajewskiej. „I sierdce wnow' gorit i lubit — ottowo czto nie lubit' ono nie możet..." Takie było ostatnie pożegnanie z ukochaną. I po wielu miesiącach przeżywa poeta we wsi Bołdino ową osobliwą jesień, tak owocną dla jego twórczości. W te dni bez śniegu stworzył Puszkin, rozstający się na zawsze z „biesami" lat młodych, obraz zawiei śnieżnej w „Biesach". Wtedy powstały również ostatnie rozdziały „Eugenjusza Oniegina" (apoteza małżeństwa) i cztery mniejsze dramaty („Skapy rycerz", „Gość kamienny czyli Don Juan", „Mozart i Salieri", „Uczta podczas zarazy"). Ta poezja rezygnacji wskazuje, iż okres szukania ogniska domowego kończy się, że realizują się niejasne marzenia. Już puszkiniści rosyjscy podkreślali, że Puszkin do pewnego stopnia przerósł Byrona, że nie był, właściwie mówiąc, „bvronista". Rozwijając tę myśl, Lednicki twierdzi, że w przeciwieństwie do Byrona, który daleki był od łączenia idei miłości i małżeństwa, szukał Puszkin szczęścia intymnego, osobistego. Analiza psychologiczna twórczości Puszkina, przeprowadzona przez Lednickiego w omawianem studjum, pełne jest subtelnych i przekonywających szczegółów.

Sergjusz Kułakowskij.

O NAUKĘ POLSKĄ

Franciszek Bujak. Co Polska traci skutkiem niedostatecznego uprawiania nauki. Warszawa, Kasa im. Mianowskiego, 1927; str. 23 i 1nl.

Broszura — jak czytelnik widzi — malutka, a ileż strat wyliczył w niej prof. Bujak!

Gdyby Polska miała większe zasługi kulturalne, to jej wysiłki celem odzyskania niepodległości spotkałyby się z większem poparciem w Europie, pomijając już wogóle możliwość jej upadku. Na tarcia wewnętrzne, na wstrząśnienia życia gospodarczego i politycznego miałaby lepsze środki zapobiegawcze nauka bowiem daje jasność pojęć społecznych, gospodarczych i politycznych. Mielibyśmy sprawniejszą administrację, lepsze ustawodawstwo, a Polska nie przechodziłaby takich wstrząsów w pierwszych latach swego nowego życia państwowego.

Miałaby najsilniejszą i najszlachetniejszą broń wobec mniejszości narodowych, miałaby potężne środki na zmianę ujemnych cech charakteru narodowego. Miałaby większy dobrobyt raźniejszy postęp gospodarczy i kulturalny ludności, mniejszą jej śmiertelność, lepsze odżywianie, urozmaicenie życia, rozwój umysłowy, wyższy poziom moralności. Miałaby większy przemysł, więcej odkryć naukowych i wynalazków technicznych, większą możność przyjmowania i zastosowywania wynalazków i odkryć obcych wraz z korzyściami materjalnemi, jakie z tej możności płyną. Miałaby więcej gwarancyj niepodległego bytu państwowego, czyli groziłoby jej mniej niebezpieczeństw politycznych. Nie byłaby wciąż „obiecującym młodzieńcem", t. j. społeczeństwem, które coraz to komu innemu musi ustępować miejsca.

wj.

Świat pięciu zmysłów

Felicja Kruszewska. Siano. Warszawa, „Bluszcz", 1927; str. 20 i 4nl.

Podobnie upojny, kanikularny zapach, jak ten, który wdarł się do poezji polskiej kilka dobrych lat temu z łąk Kazimierza Wierzyńskiego. Pewnie, że co innego. Z pewnością i inny nasz stosunek, inne i wrażenia.

„Wróble", „Wiosna i wino" biły raptownie do głowy, oszołamiały, były radosną furją oglądania stworzonego przed chwilą świata, nieodpowiedzialną szarżą entuzjazmu na polskie mroczne Sierry.

Tu sączy się zapach. Powoli, napełniając ziemię po horyzonty, — zastyga. Kanikuły bardziej zrównoważone. Pozornie ten sam ruch, krzyk, impet: jak tam; „czyż nie za wiele mi, że jestem?", tu: „nie mam zupełnie duszy — i pocóż mi dusza?"; jak tam: „świat się kołysze jak szyld ponad głową", tak tutaj: „wkoło się obraca... świat — śliczna, wielka kula błękitno-zielona" — a przecież rządzi tem wszystkiem jakieś prawo równowagi, usta-

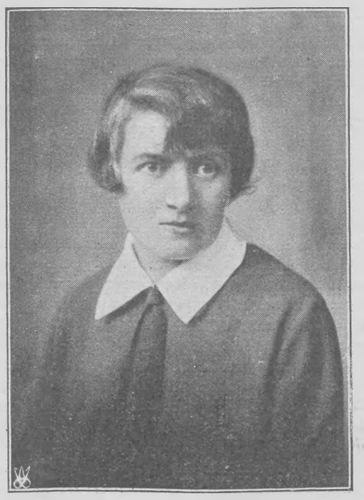

fot. Brzozowski

FELICJA KRUSZEWSKA

lono niewidoczne momenty statyczne, płoche siano, morze rozrzutnego zapachu, dojrzało do epickiego „pokarmu dla zwierząt", a stykająca się cudownie z nieskończonością łąka ma już swoje opłotki, swoje klasyczne ogrodzenie.

Nie są to już napewno pierwsze wakacje! Oglądane z perspektyw *piszącego poety*, z perspektyw czasu, raczej kanikuły, przywołane namiętnie do życia, odklęte na nowo z nieuchwytnej jak jesienna nić babiego lata, snującej się przędzy wspomnień. Oczywiście trud ten zwiększa tylko walory artystyczne wierszy. Inna sprawa, jak będą przyjęte tego rodzaju liryki, dzisiaj gdy tak łatwo o pogardliwy gest w imię wyższości kielni, smaru i nieodłącznej „krzepy". Psi czas, psia gwiazda wzeszła i utknęła nad liryką polską! Czyż wśród tych murarskich pogwarek i trójpotu czas na kanikuły?

Uniwersalizm jest jednak po stronie p. Kruszewskiej, jak jest—myślę—zawsze po stronie każdego talentu.

Co uderza i odrazu przychylnie usposabia do poezyj p. Kruszewskiej, to wytrzymanie na całej linji jednego tonu, jednego kolorytu kompozycyjnego. Wszelkie pojęcia i wyobrażenia, od pierwszego do ostatniego wiersza, mają tu swoje podłoże wyłącznie we wrażeniu zmysłowem. Cechy sensualizmu tak jaskrawe, że aż nasuwające podejrzenie świadomych założeń artystycznych. Dlatego ciekawa byłaby analiza pojedyńczych wierszy. Pierwszy rzut oka wskazuje już na niezawodną przewagę w każdym z nich różnych pierwiastków zmysłowych. Tak np. w „Wakacjach" i we „Flircie" święci triumf zmysł dotyku, zmysł temperatury i zmysł mięśniowy. „Dzień" skupia wszelkie barwy i światła, w „Ciszy" wyostrzony słuch chwyta wszystkie dźwięki, w „Macierzankach" przeciągają zapachy i wonie. Wreszcie próba syntezy: „Psy"! Najbardziej sensualistyczny wiersz w tym zbiorku! Wzrok, słuch, smak, węch, dotyk: świat pięciu zmysłów.

Spróbujmy zestawić w grupy przymiotniki i czasowniki użyte w każdym poszczególnym wierszu. Jakże jednorodne i celowe otrzymamy szeregi! Jakże zgodne w wydobywaniu na wierzch utworu, pełnego zmysłowego nastroju. Swoista „filozofja" „Siana" dałaby się zamknąć w zdaniu wyjętem z „Wakacyj": „Kończymy się cali bez reszty na ciepłej różowej skórze".

I dlatego minusem artystycznym jest rzadka tu zresztą interwencja myśli analitycznej — refleksja. Dobrze gdy wypływa z wiersza, gdy jest ukoronowaniem emocjonalnego aktu (np. w „Macierzankach"), natomiast zupełnie zbyteczne staje się jej przyczepienie, nieusprawiedliwione ideowo i formalnie, np. do wiersza „Wieczór".

Nie od rzeczy wreszcie będzie uwaga, że cały ten konsekwentny sensualizm prowadzi tu do wyraźnie relatywnej postawy („Słowa").

Gdy mowa o podobieństwach czy pokrewieństwach, znalazłyby się one i po kądzieli. „Kwiaty *pachnące wniebogłosy*", oktostych „Lipa", głównie zakończenie „a ptak... szaleje ze strachu *i krzykiem rozdziera lepką mgłę zapachu*". Nazbyt wyraźna genealogja! Dlatego czujemy się w obowiązku podkreślić ją, choć wszystko to razem niema najmniejszego znaczenia, ani na jotę nie ujmuje samorodności czystemu talentowi p. Kruszewskiej, jej pięknym, coraz osobliwiej rozkwitającym wierszom.

Jerzy Liebert.

U poetów

Jadwiga Marja Gamska. Przechodniom. Lwów, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1927; str. 8nl. i 120.

Talent w pierwszem stadjum rozwoju, oscylujący nieustannie między sumą ciekawych, upoważniających do głębszych nadziei różnorodnych możliwości a szeregiem jaskrawych odchyleń w stronę utartego od lat kilkunastu szablonu. Mimo dość pokaźnego materjału wewnętrzny profil autorki nie nabiera wyrazistych konturów, zatracając się na tle jednostajnych naogół i martwych wierszy.

Zasługujące na uwagę utwory, jak np. „Dwunastówka", „Studnia", „Pajęczyna", „Wierzba - wiedźma", „Moja woda", nie rozpraszają dostatecznie charakterystycznej obawy zrodzonej w czytelniku, że pomiędzy pięćdziesięcioma napisanemi wierszami a przypuśćmy sto dwudziestym wierszem in spe nie będzie żadnych różnic.

Józefa Czajówna. Czerwone tulipany. Poezje. Kraków, 1927; str. 61 i 3nl.

Wiersze o przeważającym podkładzie erotycznym, posiadające pozory namiętnego wybuchu, pasji, miłosnego „rozśpiewania". W istocie zaś da się to wszystko sprowadzić na płaszczyznę intymnych zwierzeń i wynurzeń, czynionych najbliższej „przyjaciółce od serca".

Poziom artystyczny nie wykracza tak dalece poza te ramy, treść zaś przeżyć napewno doskonale da się w nich zmieścić. Jest jednak w tym tomiku parę wierszy, na które warto zwrócić uwagę. Ziarenka talentu, które równie dobrze mogą przepaść, jak zakiełkować.

jl.

Wystawa „Plastyki" w Poznaniu

Poznań, w październiku 1927.

W poznańskiem Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych otwarto sezon jesienny wystawą grupy artytsów „Plastyka". Grupa ta urządziła dotychczas pokaz swych prac w Poznaniu, Bydgoszczy, we Lwowie i w Warszawie; brała udział w reprezentacyjnych wystawach polskich w Helsingforsie i Stockholmie; a teraz, po dwuletniem zaledwie

LEON DOŁŻYCKI: Jędruś

WŁADYSŁAW LAM: Herbaciarka

istnieniu, po raz drugi zaprezentowała swój dorobek w mieście macierzystem, spotykając się z żywem uznaniem krytyki i zwiedzających.

Najwięcej zalet malarskich mają prace Leona Dołżyckiego i Władysława Lama. Dołżycki przemawia silnemi barwami i śmiałością kompozycji, Lam poetyckiem podejściem i harmonijną tonacją. Z rzeczy Lama zwraca uwagę przedewszystkiem „Herbaciarka" o przedziwnym uśmiechu. Dołżycki budzi podziw świetnemi portretami.

Podczas pobytu poprzedniej wystawy „Plastyki" w Warszawie zakupiono do zbiorów państwowych 11 eksponatów, a do zbiorów Zachęty — 1. Kilka rzeczy sprzedano również podczas gościny w Helsingforsie i Stockholmie. Z tem większem podziwieniem dowiadujemy się, że Muzeum Wielkopolskie, rozporządzające znacznemi funduszami na zakup dzieł malarskich, najbardziej powołane do poparcia poznańskiej grupy artystów, „Plastykę" jako całość lekceważy. Należałoby się raczej spodziewać, że „Plastyka", jako pracowita, zdolna i rozwijająca się szybko grupa artystów, spotka się z serdeczną hojnością wpływowych mecenasów sztuki właśnie Poznania, z którym związana jest najściślejszemi więzami i któremu wiele przysparza chluby.

Stef.

FILM ROMANTYCZNY

„BESTJA MORSKA" W COLOSSEUM

Nareszcie ujrzeliśmy dawno zapowiadany film, w którym występuje najgłębszy bodaj tragik doby obecnej.

Godna podziwu w tem dziele jest nietylko wstrząsająca gra Barrymore'a, ale i praca Milarda Webba. Niezwykle pogłębiona metoda jego reżyserji umiejętnie porusza najtajniejsze struny wrażliwości lub też brutalnie wywołuje bolesny refleks centrów nerwowych widza, kiedy np. Barrymore'owi — kapitanowi Jimowi, którego kaszalot cię-

Maska genjalnego tragika Johna Barrymore'a w „Bestji morskiej"

ciem swych siekaczy pozbawił nogi, przypalają ją rozżarzonem żelazem, by zatamować śmiercionośny upływ krwi. Pisałem już o tem, że scena ta staje się podwójnie straszliwa i targająca nasze nerwy właśnie za sprawą reżysera. W sposób podstępny, niedostrzegalny, zaczyna Webb od pierwszej chwili wprowadzać momenty, w których niepoślednią rolę odgrywają nogi. Zaczyna improwizować prawdziwą symfonję nóg, z niedostrzegalnie cichą, radosną introdukcją niesamowicie zręcznych, radosnych skoków, — kończącą się grzmiącym, triumfalnym i straszliwym finałem stukania drewnianego, martwego kikuta Barrymore'a, kapitana Jima. Oto widać Barrymore'a, jak z kilkumetrowej wysokości skacze zwinnie, jak wielki, sprężysty kot, uwieszony na sznurach statku, jak ten piękny chłopiec o niewymownie męskiej, szlachetnej urodzie ani chwili nie spocznie na miejscu, — zawsze nadludzko zwinny i żywy —i ile wyrazu mają wówczas w sobie jego nogi, te sprężyste nogi półboga! Albo ten moment, gdy podczas niedzielnego kazania żywy chłopiec, nie mogąc uleżeć spokojnie, potraca wciąż końcem nogi siedzącego przed nim marynarza... Z tego widać, jak głęboko jest przygotowany okrutny moment operacji i jak musi wstrząsać widzem, i podczas niej, i w ciągu najbliższych scen, w których reżyser podsyca wciąż okropną mękę „człowieka bez nogi", ukazując mu bądź rozpustny, podzwrotnikowy taniec brzucha i nóg pięknej czarnej Jawanki, bądź też lekki, upajający jak wino walc na sali balowej, gdzie Barrymore widzi tylko nogi, nogi i nogi, a między niemi — unoszone zawrotnym wirem tańca — smukłe, przepiękne, boskie nogi swej ukochanej!

Dzięki reżyserji Webba widz ogląda przytem na ekranie obraz walki zwierzęcia o życie — tak tragiczny i pełen zgrozy, że mimowoli rodzi się w nim współczucie dla biednego, zagnanego olbrzyma. Widać, jak harpun pogrąża się w żywem ciele kaszalota, widać, jak to cielsko, przeszyte grotem stalowym harpuna i przerażenia równocześnie, podrywa się do lotu przez fale, unosząc za sobą łódź łowców wielorybów, mknącą z szybkością łodzi motorowej. Ale równocześnie krew upływa i farbuje morze dookoła... Reżyser dokazał tu cudu współczucia nawet dla zwierzęcia, gdyż nie jesteśmy w stanie go nienawidzieć, mimo grozy, jaką przejmuje nas widok straszliwej, uzbrojonej siekaczami paszczy chwytającej nogę nieszczęśnika. I nie bez powodu tę nieszczęsną, krwiącą nogę przypalają potem w oczach widza rozżarzonem do białości ostrzem harpuna. Jest w tem jak gdyby jakaś etyczna przestroga, jakaś iskra sprawiedliwego przeznaczenia, że ten kto harpunem zadawał śmierć, tym harpunem został przypieczętowany na gorsze od śmierci kalectwo na całe życie.

Zastanawiają w tym filmie niesłychanie błahe, jak gdyby tekturowe, dekoracje na egzotycznej wyspie. Ma się wrażenie, że domek misjonarza przewróci się za lada mocniejszem poruszeniem któregoś z bohaterów, a księżyc na niebie z płótna czy dykty świeci sentymentalnie i blado. Lecz w tem zlekceważeniu realizmu dekoracji jest, jak się nam wydaje, ta sama intencja, co w „Goraczce złota": cała emocjonalna strona obrazu skupia się na postaci bohatera i na grze jego namiętności. I gdy z pośród tekturowych domków wychodzi cierpiący człowiek o oderwanej nodze, by śród prawdziwych burz i na prawdziwym statku harpunniczym ćwiczyć się okrutnemi wspomnieniami, — patos jego cierpienia wyolbrzymia się niesamowicie.

Anatol Stern.

Dr. Bogumił Vydra
PRAKTYCZNA NAUKA JĘZYKA CZESKIEGO
GRAMATYKA-ROZMOWY-SŁOWNICZEK-WZORY
Warszawa
Nakład J. Buriana, 1927
Cena zł. 3 50

ŻOŁNIERZ IDEALIZMU

Gustaw Daniłowski należał do pokolenia tych, dla których rozdźwięk między myślą a czynem był centralnem zagadnieniem zarówno życia jak poezji, i znalazł najwyraźniejszy, najbliższy symbol: w walce o niepodległość Polski, na tle socjalistycznem. To też przed wojną razem z Żeromskim, Sieroszewskim i Strugiem szedł w awangardzie literackiej, podczas wojny brał osobisty udział w walce legjonowej, lecz po wojnie i po powstaniu państwa polskiego został wciągnięty w ów wir przewartościowań i rewizyj, któremu ulegały wszystkie przedwojenne sławy, hasła i ideały. Nie był tak szczęśliwy jak Żeromski, aby nowym wielkim czynem literackim wylegitymować swoją dawną rangę, i krytyka literacka, ta, któraby nie poprzestała na mizernem i łatwem porównywaniu skali talentu, powinnaby później zbadać, w jaki sposób rozproszyła się siła Daniłowskiego, jak się to stało, że ten, którego debjut powieściowy „Z minionych dni" powitany został niegdyś jako rewelacja talentu, w ostatnich czasach, zwłaszcza u najmłodszego pokolenia, stracił zupełnie estymę.

Analogje motywów powieściowych i nowelistycznych między Daniłowskim a Żeromskim zawsze uderzały. Apoteoza bojowców, niedola ich losu, a obok tego dla kontrastu bardzo silny, nie cofający się przed jaskrawościami erotyzm oraz bujność marzenia. Beznadziejne tęsknoty i uczucia lubił Daniłowski opisywać tak samo jak Żeromski i w opisach tych był mistrzem. Mimo to czuło się różnicę, która nie polegała tylko na tem, że jeden używał więcej, drugi mniej porównań. Brzozowski, który w rezerwuarze dusz polskich szukał przeciwwagi do Żeromskiego, t. zn. do poezji rozpaczy i klęski, widział w pismach Daniłowskiego „potęgę myśli i woli". Co to znaczy? Otóż to znaczy, że Daniłowski był zawsze, aż do końca, idealistą. Już w pierwszym poemacie „Na wyspie" świat dzieli mu się na białych i czarnych, na szlachetnych i na egoistów. Właściwie, pod różnemi formami, ten pogląd mu pozostał. Dlatego, czy biali klęskę ponieśli czy wygrali, rozpięcie i natężenie tragedji zawsze było niewielkie. Jeżeli poeta zdołał ją wypełnić drogiemi dla polskiego serca szczegółami, jeżeli skupił koło niej intensywne opisy przejść miłosnych lub bitewnych, wygrywał. Tak było np. z „Minionemi dniami", z „Jaskółką". Ale w nowelach z epoki rewolucji („W miłości i w boju") aureola bohaterska przychodzi za łatwo, ma w sobie więcej waloru militarnego i przez to też erotycznego, niż porania się z niebezpieczeństwami zewnętrznemi i temi, które płyną z własnego serca. O ileż skromniejszy i przez to głębszy jest idealizm „ludzi podziemnych" Struga. Daniłowski jest o wiele bliższy Sienkiewiczowi. W powieści „Tętent" okazuje się to już widocznie.

Jako lektura są utwory Daniłowskiego bardzo poczytne, dzięki energji w rozwijaniu akcji i popularnemu stylowi.

Za czasów, kiedy Daniłowski doznawał pierwszych i rozstrzygających bodźców twórczych, hasłem dla poetów były nie ciasne „poszukiwania formalne", lecz poruszanie problematów, badanie nieznanych dziedzin życia. Owocem tego natchnienia literackiego była powieść „Lili" — o kobiecie, która kocha dwóch mężczyzn. Daniłowski nie uniknął w niej sytuacyj mimowolnie humorystycznych, a jednak ta poroniona powieść nie jest pornografją, bije z niej wiara idealistyczna, lecz jakże łatwo zaspokojona. Jeden wszakże utwór wkracza w dziedzinę problematyki, która i dziś jeszcze jest aktualna, i ten wraził mi się szczególniej w pamięć. Jest to nowela „Za ścianą". Nie przygody więzienne ani pomyłki miłosne ani kontrast między kobietą płytką a głęboką jest w niej tak szczególny, lecz pewien konflikt społeczny dobrze podpatrzony i silnie uchwycony. Idzie o interes, który można zrobić na zakupnie gruntów podmiejskich; nabywcy wiedzą, że tamtędy ma pójść kolejka podjazdowa, i sąsiedni fort zostanie zniesiony, ale nie wiedzą o tem sprzedawcy. Otóż idealista Janusz, zaproszony do konsorcjum kupujących, odrzuca ten interes jako nieczysty, choć zgodny z prawem. Niedość na tem: Janusz własnych pieniędzy nie ma, ale może według obowiązującego kodeksu Napoleona rozporządzać kapitalikiem żony; otóż uświadamia on sobie nową kolizję: jeśli nie da ruszyć pieniędzy, zakaże włożyć je w ten interes, to skorzysta z niesłusznie przysługującego mu prawa, a jeśli pozwoli, popełni t. zw. w katechizmie grzech cudzy. Na tem tle mógł powstać dobry nowoczesny dramat społeczny, — Daniłowski załatwia konflikt od ręki. Janusz godzi się na zaproponowany mu rozwód i odchodzi z pogardą dla tych szubrawców: jest to typowe idealistyczne traśnięcie drzwiami. Nieraz o tym przykładzie myślałem, ostatnio pisząc recenzję o komedji Perzyńskiego „Uśmiech szczęścia", gdzie ten sam Janusz pokazany jest w ostatecznej degrygolladzie.

Mówię tu wszędzie o idealizmie a nie o romantyzmie, na który zupełnie niesłusznie zwala się różne winy poetów polskich; światopogląd idealizmu jest dla nich o wiele znamienniejszy.

Daniłowski należał do jego fanatyków, tak w poezji jak w życiu. Pamiętamy, jak w tym samym „Kurjerze Porannym" gdzie ukazywały się dość słabe jego wiersze, na innej stronicy pisał Daniłowski tchnące oburzeniem rewelacje o nadużyciach w pewnej instytucji. Wpadł przypadkiem na trop jakiegoś łotrostwa i nie zmilczał, on — poeta podjął się tej przykrej roli. Idealizm jego nie był malowany, tkwił mu w nerwach i w sercu.

Cześć jego pamięci! *ki.*

KRONIKA TYGODNIOWA

Zniknięcie dwu teatrów. — Nienawiść z odcieniem patosu. — Precz z Patem i Patachonem.—Nie mówimy o introligatorach.— Alibi. — Cytuję Wikacego. — Oglądanie się poza siebie. — Stare brudy. — Omijanie cenzury. — Westchnienia za emigracją. — Prawda kapłanów egipskich.

Ponieważ Teatr Polski zapowiedział w najbliższej przyszłości wystawienie sztuki Nowaczyńskiego, „Kurjer Poranny" już dziś stosuje ostre represje wobec teatrów szyfmanowskich. „Kurjer" nietylko nie pomieszcza komunikatów i wzmianek o sztuce Nowaczyńskiego, ale pomija milczeniem wogóle istnienie Teatru Polskiego i Małego, ba — nawet nie drukuje płatnych ogłoszeń. Ponieważ sztuka Nowaczyńskiego ma ukazać się w druku nakładem firmy Hoesick, w ogłoszeniach przekładów Boya z Balzaka firma Hoesick jest również pomijana.

Ta nienawiść ma w sobie patos, ale nie jest pozbawiona pewnych cech śmieszności. Po pierwsze objektem tej nienawiści jest osoba dziś bardzo niepopularna i bynajmniej nie groźna, po drugie zaś system przemilczania, tak szeroko, mściwie i konsekwetnie zastosowany, niebardzo jest w zgodzie z informacyjnemi obowiązkami prasy. Wyobraźmy sobie, iż Fryze, redaktor „Kurjera Porannego", nienawidzi równie silnie p. Piotra Góreckiego, dyrektora Polskiej Agencji Telegraficznej. Wtedy „Kurjer Poranny" przestanie podawać depesze zagraniczne, dostarczane przez P.A.T'a, przemilczać będzie Polskę, wszelkie agencje i telegraf oraz filmy z Patem i Patachonem. Jeśli redaktor Fryze będzie wytrzymały i konsekwentny, pismo jego przemilczać będzie również reżysera, dekoratora i wszystkich aktorów, którzy splamili się dotknięciem sztuki Nowaczyńskiego. Właściwie drukarz, który tę sztukę drukuje, i papiernik, dostarczający na nią papieru, również powinni być zwalczani, nie mówiąc już o introligatorze, woźnych i statystach teatralnych. Kręgiem tej nienawiści piekielnej mogą być objęci również i widzowie sztuk Nowaczyńskiego. Aby nazwisko czyjeś było pomieszczone w „Kurjerze Porannym", trzeba tam będzie przedstawiać świadectwo odwszenia oraz alibi.

Ciekawi jesteśmy, jaką rolę w tym bojkocie odegra Boy. Przykre byłoby, gdyby się to zmieniło w boykot. Nie zamierzam tu ze szlachetnością bronić mego „przykrego wroga" (jakby powiedział Witkacy), p. Nowaczyńskiego, myślę jednak, iż gra nie warta jest świeczki a raczej knota, który dogasa i kopci, — z drugiej jednak strony wprowadzanie takiego sposobu walki jest bezwzględnie godne potępienia.

Metoda przemilczania praktykowana była dotychczas z powodzeniem przez „Kurjer Warszawski". Pan Zdzisław Dębicki pomieszcza wyczerpujące sprawozdania z różnych poetów z podgatunku Zuzanny Rabskiej, Róży Heymanowej czy innych Konczyców, ale nigdy nie napisał słowa o żadnym z tomów Tuwima. Pan Dębicki, który pono pretenduje teraz do akademji, zbyt często „oglądał się poza siebie" na wydawców w sprawach, na które wydawcy wpływu mieć nie powinni.

Krytyków podzielić można na dwa rodzaje: ludzi twórczych, którzy mają coś do powiedzenia, i kronikarzy w rodzaju Lorentowicza, Czekalskiego czy Dębickiego — ci panowie powinni wynagradzać brak talentu sumiennością, gdyż kronikarz dziennikarski bez talentu i bez sumienności staje się typem szkodliwym. Z drugiej zaś strony może nam ktoś odpowiedzieć: czy można wymagać od Boya, żeby nie pisywał wogóle do „Porannego" dlatego, że tam przemilczają Nowaczyńskiego, lub żeby Dębicki rzucił „Kurjer Warszawski", bo wydawcy bojkotują Tuwima? Czy Lorentowicz powinien był pisywać do „Świata", chociaż mu redaktor wykreślił moje nazwisko z artykułu o współczesnej poezji polskiej? Czy Breiter miał zostać w „Świecie" mimo iż mu Krzywoszewski usunął z recenzji o miesięcznikach poetyckich „Skamandra"? Myślę osobiście, że co wolno Boyowi, to nie Lorentowiczowi. Kronikarzy obowiązywać winna sumienność, którą, niestety, pochwalić się nie mogą.

Zresztą te wszystkie walki odbywają się w tak ciasnem kółku i dotykają spraw tak mało ważnych, iż niema co się nad tem dłużej zatrzymywać.

Kompromis sporadyczny, wywołany doraźną presją wydawcy, — to rzecz bez większego znaczenia. Gorzej jest gdy chodzi o bojaźń przed naruszeniem obowiązujących komunałów. Pewne recenzje Boya pisane są jak artykuły patrjotyczne za czasów cenzury rosyjskiej. Tylko, że teraz cenzurą jest właśnie „patrjotyzm". Wypowiedzenie wprost, bez ogródek, zastrzeżeń co do sztuk Słowackiego czy Fredry uważane jest za przestępstwo przeciw prawomyślności. Są to rzeczy, o których wolno mówić, ale o których się nie pisze. Gdyby była dzisiaj emigracja, krytyka wieleby na tem zyskała, nie mielibyśmy natomiast satysfakcji odcyfrowywania dowcipnie ukrytego zjadliwego sensu w pozornie kurtuazyjnej formie artykułów Boya.

Wszystko to jest bardzo śliczne, ale niema dwóch prawd,—jednej dla kapłanów a drugiej dla motłochu. Trzeba mądrej, celowej i nieubłaganej walki, aby oczyścić stosunek przyszłego pokolenia do literatury. Proponowałbym, aby zacząć od spalenia wszystkich podręczników szkolnych historji literatury i zabronić wykładania tego przedmiotu. Na takie przemilczanie możemy się zgodzić. Są bowiem ludzie gorsi od tych co nic nie umieją: to ci co źle umieją — nie mówiąc już o najniższej kategorji tych, którzy źle nauczają.

Antoni Słonimski.

Przegląd prasy

GUSTAW DANIŁOWSKI

Liczne wspomnienia o Gustawie Daniłowskim podkreślają przedewszystkiem ideowe pierwiastki w jego twórczości. *Juljusz Kaden-Bandrowski* („Głos Prawdy", nr. 291): „Stanowił on typ owych kilku artystów-proroków, którzy na schyłku ostatnich dni niewoli zatracili świadomie i ofiarnie granice pomiędzy wizją artystyczną a rzeczywistością społeczną". *Jan Dąbrowski* („Robotnik", nr. 290): „...jeśli będziemy mówili o jego zapale, entuzjazmie, ideowości — to przyznać musimy, że dał ze siebie wszystko bez reszty i że swe posłannictwo pisarza — na pograniczu sztuki i czynu — całkowicie wypełnił". *Z. Dębicki* („Kurjer Warszawski", nr. 290): „Dla historji literatury pozostanie on zawsze i przedewszystkiem wyrazicielem tych dążeń niepodległościowych, które nie znały wśród młodzieży polskiej rezygnacji..."

OD MOLJERA DO CLAUDELA

W ostatnich numerach pism polskich znajdujemy szereg istotnych i poważnych szkiców poświęconych literaturze francuskiej.

Boy-Żeleński („Moljer, moralność, Japonja", „Kurjer Poranny", nr. 280) z okazji zakazu grywania Moljera w Japonji kreśli dzieje stosunku współczesnych i potomnych do moralności pisarza, stale kwestjonowanej, od Russa począwszy, na Faguecie kończywszy. Boy-Żeleński przeprowadza tezę, że „całe dzieło Moljera jest ciągłem demaskowaniem istotnych pobudek" czynów ludzkich, „najlepszym... podręcznikiem" cnoty jako wiedzy o sobie, i że „działa umoralniająco".

Bossuetem zajmuje się *Boy-Żeleński* („Człowiek, który chciał wstrzymać czas...", tamże. nr. 294) i *Adam Grzymała-Siedlecki* („Trzechsetlecie Bossueta", „Kurjer Warszawski", nr. 291). Boy-Żeleński daje barwny wizerunek wielkiego myśliciela na tle pełnej sprzeczności epoki, konkludując: „Następny wiek miał być zwycięstwem wszystkiego tego, czemu ten Rejtan chrześcijaństwa chciał zagrodzić drogę". Grzymała-Siedlecki widzi w Bossuecie „indywidualność jedolitą", kierującą się w działalności trzema pierwiastkami: poczuciem państwowości, ideą ojczyzny, potężnem uczuciem.

O Zoli pisze *Włodzimierz Jampolski* („Człowiek wielki i uczciwy", „Epoka", nr. 291) i *S. H.* („Emil Zola", „Nasz Przegląd", nr. 277). Jampolski broni wartości artystycznej dzieła pisarza, S. H. interesuje przedewszystkiem jego stosunek do... Żydów.

Jan Emil Skiwski („Maurice Barrès", „Myśl Narodowa", nr. 22) daje próbę charakterystyki twórczości Barrèsa.

St. Kolbuszewski („Claudel i poezja czysta", „Kurjer Poznański", nr. 461) charakteryzuje poglądy Claudela na istotę poezji, wypowiedziane w liście do Bremonda. „Przyznaje on rację Bremondowi, że podstawy natchnienia poetyckiego i kontemplacji religijnej są wspólne, i jego zdaniem zdolność poetycka pozostaje w bezpośrednim związku z wyobraźnią i wnikliwością a tylko w pośrednim z intelektem „rozumującym". Po zanalizowaniu pojęcia natchnienia, Claudel stwierdza, że różnica pomiędzy poezją a modlitwą polega na bezwzględnej wartości modlitwy: „modlitwa bowiem jest tylko dla Boga, poezja — dla Boga i dla ludzi". Stąd „niższość poezji w porównaniu z modlitwą".

H. L. drukuje w nr. 289 „Epoki" rozmowę ze znanym pisarzem belgijskim, Louis Pierard („Prezes belgijskiego P.E.N.-Clubu w Warszawie"). Pierard opisuje niedawne uroczystości ku czci Verhaerena, rzuca kilka nazwisk współczesnej literatury belgijskiej, pozostających pod przemożnem wpływem Dostojewskiego, wreszcie szkicuje zgłoszony przezeń do parlamentu projekt funduszu narodowego pomocy dla literatów. Fundusz ten składałby się z subsydjów rządowych i gminnych, z podatku jednoprocentowego od wszystkich książek sprzedawanych w księgarniach, wreszcie z podatku od opłat w wypożyczalniach książek.

SZWINDELEK PANA PIEŃKOWSKIEGO

Do polemiki pp. Wieniewskiego i Hulki-Laskowskiego o książkę prof. Zielińskiego „Hellenizm a judaizm" wtrącił się p. *Stanisław Pieńkowski* („Przygoda uczonego", „Myśl Narodowa", nr. 22) i zaatakował w ordynarny sposób „Wiadomości Literackie". Przy okazji popełnił maleńki szwindelek. Pan Pieńkowski insynuuje „Wiadomościom", że uderzyły w prof. Zielińskiego za jego nieprzychylne dla Żydów dzieło i w celu poparcia swojej tezy: 1) bagatelizuje entuzjastyczną ocenę „Hellenizmu" przez p. Wieniewskiego w nr. 194 „Wiadomości Literackich", 2) odsuwa ją w nieokreśloną przeszłość, 3) na plan pierwszy wysuwa artykuł polemiczny przeciw recenzji Wieniewskiego, drukowany w nr. 196, 4) zataja nazwisko jego autora, p. Hulki-Laskowskiego, aby czytelnik miał wrażenie, że artykuł wyszedł z pod pióra Żyda. Żałosna figura p. Pieńkowskiego opętana jest manją prześladowczą: wszystko jest prowokacją, i — dodajmy — być może, „żydowska" firma wydawnicza J. Mortkowicza naumyślnie wydała książkę prof. Zielińskiego, żeby potem Żydzi mogli uczonego maltretować...

Jedyną pozytywną stroną p. Pieńkowskiego na tle łaszących się do żydowskich ogłoszeń skrybów endeckich był do tej pory odważny, konsekwentny, bezkompromisowy antysemityzm. Cierpiał za swoje przekonania, bo nawet z „Rozwoju" wyrzucono go za umieszczenie artykułu, utrzymującego poważnie, że Żydzi są właściwie „małpoludami". Ale okazuje się, że nawet ten jedyny konsekwentny antysemita ma swego małpoluda. Niedawno w „Myśli Narodowej" pojawiły się „Sonety morskie" p. Pieńkowskiego, dedykowane pewnemu znakomitemu aktorowi, z zaakcentowaniem jego „niezrównanej" gry w roli bohatera fredrowskiego. Ale p. Pieńkowski nie wiedział, że ten aktor jest czystej krwi Semitą. Żyd i małpolud jako szlachcic polski!— takie jest uwieńczenie działalności p. Pieńkowskiego. Bilans, doprawdy, rozpaczliwy.

Dla uniknięcia nieporozumień zaznaczamy, że ewentualne tłumaczenie się p. Pieńkowskiego, iż dedykowanie nędznych wierszy Żydowi było w jego przekonaniu aktem antysemickim, — zgóry, jako wykrętne, odrzucamy. *jam.*

ANEGDOTY

Na premjerze tragedji Woltera „Semiramis", która, jak wiadomo, zrobiła klapę, autor spotyka Pirona.

— No, cóż pan sądzi o sztuce ?

— Myślę, że chciałby pan, żebym to ja był jej autorem, — odpowiedział Piron z uprzejmym uśmiechem.

*

Stary Dumas miał pomocników, którzy czynni byli w jego „fabryce romansów". Jeden z nich nazywał się Maquet i opracowywał dla Dumasa szkice powieściowe.

Kiedyś Dumas, który był wielkim smakoszem, własnoręcznie przygotował dla jednego ze swych przyjaciół majonez. Ale majonez nie udał się, i na zapytanie pisarza, jak mu smakuje, gość odpowiedział:

— Drogi przyjacielu, między nami mówiąc, myślę, że majonez przyrządzał Maquet.

*

Shaw był obecny na wieczorze, na którym grał pewien skrzypek.

— Jakże się panu podoba? — spytała gospodyni.

— Przypomina mi Paderewskiego.

— Paderewskiego? Ależ, jeżeli się nie mylę, Paderewski nie jest skrzypkiem...

— Właśnie dlatego przypomina.

*

Shaw, który nie znosi muzyki przy jedzeniu, w czasie bankietu na jego cześć, skinął na kapelmistrza:

— Czy zagra pan co, jeżeli poproszę?

— Ależ naturalnie — brzmiała odpowiedź.

— W takim razie proszę, niech pan zagra w domino.

*

Rozmowa po odczycie hr. Keyserlinga o małżeństwie.

— Co sądzi pan o tem?

Westchnienie i odpowiedź:

— Chciałbym wiedzieć o małżeństwie tak mało jak Keyserling...

*

Znany poeta niemiecki Gottfried Benn, jednocześnie lekarz, powiedział pewnemu pacjentowi, który leczył się sam, czerpiąc wskazówki bezpośrednio z książek medycznych.

— Ostrożnie, umrze pan jeszcze kiedyś na błąd drukarski.

*

Młody Wedekind żył z żoną znanego przemysłowca P. Kiedy ten dowiedział się o zdradzie żony, napisał do Wedekinda obelżywy list. Nazajutrz spotyka Wedekinda i groźnie zbliża się do niego:

— Panie, nazywam się P. Pisałem wczoraj do pana.

— Tak, — odpowiada Wedekind, — otrzymałem pana okólnik.

*

Podczas rautu na zamku Reinhardta Leopoldskron w pewnej grupie gości wywiązała się rozmowa na temat Czerniowic. Molnar jest zdania, że każdy Austrjak musi mieć coś do czynienia z Czerniowicami: jeden się tam urodził, drugi ma tam wuja, trzeci prowadzi jakieś interesy, i t. d.

— Tylko pan, panie generale, — zwraca się Molnar do generała Seeckta, — jest wyjątkiem. Pan napewno nie ma nic wspólnego z Czerniowicami.

— O przepraszam, — odpowiada von Seeckt, — zdobywałem je dwa razy.

*

Pewna znana aktorka prosi dyrektora teatru o trzy kartki na premjerę.

— Ale nie obok siebie — dodaje.

— Niestety, jest to niemożliwe. Ale domyślam się, o co chodzi. Musi pani mieć miejsca dla swych trzech wielbicieli, i jeden nie może wiedzieć o drugim.

— Zupełnie słusznie...

Po chwili namysłu aktorka dodaje:

— Zresztą niech pan da te miejsca. Będę musiała uśmiechać się tylko w jednym kierunku, a trzej młodzi ludzie są tak głupi, że każdy weźmie uśmiech do siebie.

Korespondencja

MUCHĄ TSE-TSE I AKADEMJA

Do redaktora „Wiadomości Literackich"

W swojej dowcipnej „Kronice tygodniowej" (nr. 198 „Wiadomości Literackich") p. Antoni Słonimski okazał się terrorystą. Terroryzuje przyszłą akademję literatury polskiej!

Dziwi mnie, doprawdy, że nietylko akademja, lecz nawet jej zarodek pozostaje dotąd przy życiu. Dawno musiałyby umrzeć czarną śmiercią w powodzi atramentu, wylanego na spór wynikły koło tego arcywspaniałego, pompatycznego tworu très chic, comme chez nous à Paris.

Terrorysta Słonimski straszy przyszłych akademików tem, że hoduję na nich w klatce muchę tse-tse.

Proszę pp. „przypuszczalnych" i rzeczywistych akademików wierzyć, że muchy tse-tse oddałem lwowskim entomologom, ale przedtem były one już uśpione tak dobrze, jak twórcza myśl w wielu akademjach literatury.

Zresztą nawet gdybym miał muchę tse-tse w klatce, nie puściłbym jej na pp. akademików w obawie, że mi uśnie podczas któregoś tam posiedzenia, poświęconego arcyzawodowym sądom o wysokim lub niskim poziomie utworów niewtajemniczonych i niepoświęconych przez departament taki lub owaki pisarzy.

Nie, ja nie będę mordował akademików i z duszy-serca życzę im „sto lat, złota beczkę i t. d.", jeżeli czegoś jeszcze pragną i coś jeszcze potrafią!

Terrorystą nie jestem, członkiem akademji być nie pragnę, również jak 25, 27, 30, 35 i 50-letniego jubileuszu. Trąci to... Campo Santo, a ja lubię życie, ruch, no! i wolność.

F. A. Ossendowski.

ODPOWIEDŹ PANU MILLEROWI

Do redaktora „Wiadomości Literackich"

W artykule p. t. „Pogromca Maurów w zarażonej Grenadzie" („Wiadomości", nr. 194) p. Jan Nepomucen Miller, polemizując z Irzykowskim, zaczepił również mnie. „Krytyka" p. Millera brzmi następująco:

„Ten zgryźliwy i napastliwy w szczegółach ton krytyki p. Irzykowskiego pozwala rozmaitym „rzypieniom" krytycznym w rodzaju p. Suchodolskiego („Ruch Literacki", nr. 62 r. 1926) i Przybosia („Zwrotnica", nr. 11 z r. 1927) przypinać się w obszczekiwaniu mnie do jego ogona, choć pomoc tego rodzaju zapchlonych Azorków brytan okupić może tylko świerzbą i nosacizną".

Passus ten miałem pierwotnie zamiar zlekceważyć milczeniem. Sądziłem bowiem, że trywjalność tego, pożal się Boże, „witza", określając p. Millera krytycznemu czytelnikowi właściwie, nie wymaga krytyki. W tym zamiarze podtrzymywało mię także przeświadczenie, że trafna ocena „Zarazy w Grenadzie" zyskuje z każdym artykułem polemicznym na wyrazistości. Nie wydaje mi się, ażeby po wystąpieniach krytycznych Irzykowskiego, Peipera i mojem było jeszcze kilku naiwnych, którzyby we frazeologicznej publicystyce autora „Zarazy" dopatrywali się jakiegoś związku z krytyką estetyczną.

Jednakże wzgląd na to, że p. Milller, mianując siebie samozwańczo wyrazicielem nowej sztuki, kompromituje nową sztukę, a anektując moje nazwisko na rzecz swego uniwersalizmu, ubliża mojej ideologji, skłania mię do przypomnienia zarzutów, sformułowanych przeze mnie w 11-ej „Zwrotnicy".

W artykule p. t. „Demaskować!" wykazałem na cytatach z „Zarazy w Grenadzie", że:

1) p. Miller zwalcza rzekomo romantyzm quasifilozoficznym żargonem, zlepionym z odpadków pojęć romantycznych;

2) p. Miller nie posiada prymitywnych kwalifikacyj pisarskich: nie umie zbudować stylistycznie poprawnego zdania;

3) p. Miller posługuje się bezmyślnie zestawianemi frazesami, tworzącemi w sumie nonsensowne brednie.

Ukazanie dowodne takich faktów byłoby w życiu literackiem Zachodu klęską moralną dla oskarżonego pisarza. U nas, w wypadkach, gdy rzeczowość zarzutów zamyka usta frazeologowi, frazeolog broni się owem „parciem", które p. Miller uważa za istotę swego uniwersalizmu. „Parcie" temperamentu płodzi „witze" w rodzaju p. Millera.

Nic to jednak nie pomoże i nonsensom „Zarazy w Grenadzie" dorzeczności dowieść nie potrafi.

Juljan Przyboś (Kraków).

*

S. Ż. Niemożliwe.

L. R. w Pawłowie. Niestety, jest to niemożliwe dla wielu względów.

N. S. w Kaliszu. Przypuszczamy, że odpowiedzi udzieli p. Leo Belmont (Marszałkowska 97a).

M. Gl. w Łodzi. Grzymała-Siedlecki przez „Kurjer Warszawski", Jellenta przez Dom Książki Polskiej, Zegadłowicz: teatry miejskie w Poznaniu, Solska: Szopena 15.

K. Andrz. J. w Chełmie. Nadesłanych wierszy drukować nie będziemy.

STEFAN NAPIERSKI
ODJAZD
CENA zł. 3.—
Księgarnia F. Hoesicka

Tydzień bibljograficzny

rejestruje całkowitą produkcję wydawniczą następujących firm: „Alfa", H. Altenberg, M. Arct, „Bibljoteka Polska", Ludwik Chomiński, Gebethner i Wolff, F. Hoesick, W. Jakowicki, Krakowska Spółka Wydawnicza, Książnica - Atlas, Jakób Mortkowicz, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Bernard Połoniecki, „Renaissance", „Rój", Trzaska, Evert i Michalski, Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy.

BIBLJOGRAFJA, BIBLJOFILSTWO

Marja Mazankówna i Kazimierz Tyszkowski. Bibljografja historji polskiej za rok 1926. Osobne odbicie z „Kwartalnika Historycznego", r. XXI (1927). Lwów, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1927. str. 58 i 2nl. Zł. 6.— Systematyczne zestawienie książek, artykułów i recenzyj.

HISTORJA LITERATURY, KRYTYKA ESTETYCZNA

Zdzisław Dębicki. Rozmowy o literaturze. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1927; str. 242 i 2nl. Zł. 5.— Cykl artykułów: „Nieporozumienia", „Pokrzywdzeni", „Polinji najmniejszego oporu", „Poszanowanie pracy", „Literatura a społeczeństwo", „Kwiat tarniny", „Literatura jako zawód", „Wielu powołanych", „Poniechane tematy", „Glebae adscripti", „Znak zapytania", „Zawiasy literatury", „Chałupnicy", „Atmosfera ogólna", „Czy upadek?", „Wojny domowe", „Prymitywizm czy prostota", „Poezja jest wszędzie", „Liryka a epika", „Poezja a technika", „Poezja a proza", „Z fali na falę", „Na marginesach uniwersalizmu", „Ci, którzy idą...", „Rzemiosło literackie", „Literatura a dziennikarstwo", „Propaganda", „Pro foro interno", „Organizacja pracy literackiej", „Akademja literatury", „Skarb narodowy literatury, nauki i sztuki".

Zygmunt Wasilewski. Wspomnienia o Janie Kasprowiczu i Stefanie Żeromskim. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1927; str. 186 i 6nl. Zł. 4. — Na książkę składają się następujące artykuły o Kasprowiczu: „O portret poety", „Psychika Kasprowicza", „Góry w poezji", „Nad mogiłą Kasprowicza", „Wspomnienia" — i o Żeromskim: „Po śmierci Żeromskiego", „Dramat twórczości Żeromskiego", „Wspomnienie o Stefanie Żeromskim".

POWIEŚĆ, NOWELA

T. Brudzewski. Zatrute źródło. Powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1927; str. 157 i 3nl. Zł. 3.50. — Książka porusza problemat konfliktu duszy młodej dziewczyny ze środowiskiem współczesnem.

Joseph Conrad Korzeniowski. Zwycięstwo. Przełożyła *Aniela Zagórska.* Tom pierwszy-drugi. Lwów, Zakład Nar. imienia Ossolińskich, (1927); str. XXI i 3nl. i 205 i 3nl. i tabl. 1 (I), 285 i 3nl. (II). Zł. 9 — Jedno z arcydzieł współczesnej powieści.

Maurice Dekobra. Ucieczka lorda Seymura. Przekład *A. Czarskiej.* (Okładka *S. Norblina).* Warszawa, „Rój", 1927; str. 206 i 2nl. Zł. 6. — Sensacyjna powieść współczesna.

Ilja Erenburg. Wydanie zbiorowe. Tom VII. Sześć opowieści o łatwych skonach. Przełożyli *M. Grabowska* i *Fredani.* Warszawa, „Rój", 1927; str. 171 i 5nl. Zł. 6.— Następujące opowiadania: „Witrion", „Doba", „Towarzystwo Akcyjne „Mercure de Russie", „Szyfkarta", „Doświadczalna wzorówka nr. 62", „Zepsuty film".

Jack London. Jerry z wysp. Przekład *W. Borudzkiej* i *M. de Kleista.* (Okładka *S. Norblina).* Warszawa, „Rój", 1928; str. 250 i 6nl. Zł. 3.50. — Powieść

Marja Leszczyńska-Mittelstaedt. Tańczące siostry. Warszawa, „Rój", 1927; str. 4nl. i VI i 287 i 3nl. Zł. 6.— Powieść poprzedził wstępem Melchjor Wańkowicz.

Bibljoteka Powieściowa. Redaktor *Marjan Kister.* Nr. 519. *Wanda Melcer-Rutkowska.* Narzeczona z Angory. Okładka projektu *S. Norblina.* Warszawa, „Rój", 1928; str. 170 i 6nl. Zł. 1.45. — Powieść współczesna.

KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY

Dr. *Antoni J. Mikulski.* W naszej szkole. Czytanki polskie dla trzeciego oddziału szkoły powszechnej. Ilustrował *Stanisław Wójcik.* Tablice według obrazów *J. Matejki* i *J. Styki.* Melodje *Fr. Koniora, K. Kurpińskiego,* ks. *Siedleckiego* i ludowe. Lwów, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1927; str. 168 i tabl. 3. Zł. 2.80. — (kart.). Wypisy z szeregu wybitnych pisarzy.

MIECZYSŁAW ZIĘBOWSKI
LWY
Zbiór utworów poetyckich
Cena zł. 2.50. Dom Książki Polskiej

Największa hurtownia księgarska
W POLSCE
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ
Sp. Akc.
WARSZAWA, Plac Trzech Krzyży 8
Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je w komis do księgarzy w całej Polsce.
WYDAJE PISMO REKLAMOWE
KURJER KSIĘGARSKI

PRENUMERATA z przesyłką zł. 9.— kwartalnie, zagranicą 2 dol. — OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm. szerokości 1 szpalty 30 groszy za tekstem; 50 groszy w tekście. Kolumna posiada 6 szpalt.

REDAKCJA: Złota nr. 8 m. 5, tel. 132-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Boduena 1, m. 2, tel. 223-04, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—18, w sobotę od godz. 9—13. Konto pocztowe nr. 8515.

Odbito w drukarni „Rola" J. Buriana, Warszawa, Mazowiecka 11
Klisze cynkografji „W. Główczewski", Chmielna 18

Redaktor: MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYDZEWSKI